



GAZETA KRAKOWSKA

Dziennik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!

NR INDEKSU 35018
PLISSN0208-7698

Kraków • Nowy Sącz • Tarnów

1985—02—02, 03

Nr 28 (11215)

Rok XXXVII

Cena 5 zł

Wyd. 1

Wojciech Jaruzelski

przyjął

Vasanta Sathe

WARSZAWA (PAP). 1 bm. prezes Rady Ministrów gen. armii Wojciech Jaruzelski przyjął ministra Republiki Indii Vasanta Sathe. W czasie rozmowy omówiono aktualny stan i perspektywy rozwoju polsko-indyjskich stosunków gospodarczych.

Gen. Jaruzelski, nawiązując do przekazanej Polsce przez rząd Republiki Indii deklaracji konferencji szefów państw i rządów sześciu krajów (Argentyna, Meksyk, Grecja, Szwecja, Tanzania i Indie), jaka odbyła się w New Delhi w dniu 28 stycznia br., wyraził głębokie uznanie i poparcie dla zawartych w niej inicjatyw w sprawie rozbrojenia nuklearnego, zapobieżenia militarystyce kosmosu i zaprzestania wyścigu zbrojeń.

Współpraca gospodarcza

Polski i Indii

WARSZAWA (PAP). 1 bm. zakończyła się w Warszawie IX Sesja Polsko-Indyjskiej Komisji Mieszanej ds. Współpracy Gospodarczej, Handlowej i Naukowo-Technicznej. Protokół końcowy podpisali współprzewodniczący obrad — ze strony polskiej wicepremier Janusz Obodowski i z (CIĄG DALSZY NA STR. 2)

Posiedzenie Komisji Ideologicznej KC PZPR

Dyskusja nad założeniami programowymi XIX Plenum Komitetu Centralnego

WARSZAWA (PAP). 1 bm. odbyło się posiedzenie Komisji Ideologicznej KC PZPR. Odrębnie przewodniczył Józef Czyrek, członek Biura Politycznego, sekretarz KC. Przedmiotem obrad były założenia programowe XIX Plenum KC, które poświęcone będzie roli i miejscu inteligencji w socjalistycznym rozwoju Polski. W toku żywej dyskusji członkowie komisji skoncentrowali się na projekcie tezy do referatu, rozwijając elementy określające rolę inteligencji w procesie socjalistycznej odnowy,

jej szanse i powinności w rozwiązywaniu problemów rozwoju gospodarczego, naukowo-technicznego, kultury i oświaty, w umacnianiu stabilizacji i normalizacji, jako przesłanki sprostania wyzwaniom, które stwarza rozwój cywilizacji i polityki konfrontacji. Pozytywnie odniesiono się do projektu odbycia we wszystkich środowiskach zawodowych inteligencji otwartych dyskusji poprzedzających obrady plenarne KC, by w tym trybie umożliwić zebranie koniecznych dla potrzeb rozwo-

jowych kraju doświadczeń, propozycji i projektów. W dyskusji akcentowano również konieczność wykorzystania do robku przygotowywanego Plenum KC w pracy nad nowym programem partii. W drugim punkcie porządku obrad członkowie komisji zapoznali się z założeniami programowymi i organizacyjnymi II Ogólnopolskiej Partijnej Konferencji Ideologiczno-Teoretycznej. Jej tematem będzie przygotowany po KKD projekt perspektywicznego programu partii.

Konsultacja podwyżek cen

Stanowisko Federacji Konsumentów

WARSZAWA (PAP). Trwa nadal konsultacja podwyżek cen. Stanowisko w tej sprawie przedstawiła Federacja Konsumentów. Główny nacisk położono w nim na konieczność odejścia od reglamentacji. Zdaniem Prezydium Rady Krajowej FK jest ono możliwe nawet przy mniejszej skali podwyżek cen.

O ile odejście od reglamentacji artykułów żywnościowych może — zdaniem FK — nastąpić natychmiast, o tyle zniesienie kartek na cukier, masło, tłuszcz należałoby przeprowadzać stopniowo, ale w niezbyt odległym czasie. Proponuje się przy tym możliwość stosowania systemu podwójnych cen. Wyższe dotyczyłyby nadwyżkowej puli towarów dotychczas reglamentowanych. Metodę tę — stwierdza FK — można by także w przyszłości zastosować przy sprzedaży mięsa.

Polsko-Rumuńska

Rządowa Komisja

Współpracy

Gospodarczej

WARSZAWA (PAP). W dniach 29 stycznia — 1 lutego odbył się w Warszawie obrady Polsko-Rumuńskiej Rządowej Komisji Współpracy Gospodarczej, którym przewodniczył wicepremier Janusz Obodowski i Gheorghe Petrescu.

Komisja pozytywnie oceniła aktualny stan współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej między PRL i SRR oraz podjęte dotychczas działania zapewniające dalszy jej rozwój.

Centralne miejsce w obradach zajęła problematyka rozwoju w latach 1986—1990, a także w dalszym okresie współpracy przemysłowej, opartej o specjalizację i kooperację produkcyjną oraz bezpośrednie więzi gospodarcze i badawczo-konstrukcyjne między zakładami produkcyjnymi obu państw.

Stwierdzono, że prowadzone przez centralne organy planowania obu państw prace nad koordynacją planów gospodarczych na lata 1986—1990 przebiegają zgodnie z przyjętym harmonogramem.

Komisja pozytywnie oceniła realizację wymiany towarowej w ub. r. oraz założenia zawarte w protokole handlowego z 1985 r.

Delegacja Warszawy

zaproszona

na pokojową

manifestację SPD

BONN (PAP). Zachodni Niemcy socjaldemokracji wystąpili z inicjatywą zaproszenia do Norymbergi przedstawicieli „miast, które najbardziej ucierpiały w czasie II wojny światowej”.

Zaproszenie wysłano m. in. do Warszawy. Przedstawiciele tych miast będą honorowymi gośćmi wiecej pokojowego organizowanego przez SPD z okazji 40. rocznicy kapitulacji Niemiec i zakończenia II wojny światowej.

W czasie wiecej ma zostać ogłoszony tzw. manifest norymberski, zmierzający do nadania nowych impulsów polityce dialogu i współpracy ze Wschodem.

Obok Warszawy do Norymbergi zaproszono również delegację z Mińska, Lidy, Coventry, Rotterdamu i Kolonii.

Historyczny koncert w Filharmonii Krakowskiej

Muzycy podwawelscy w dniach wielkiego jubileuszu

Medal 40-lecia Filharmonii im. K. Szymanowskiego dla Zygmunta Latoszewskiego

(Obsługa własna). Wczorajszy koncert Orkiestry Symfonicznej Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie był podniosłą imprezą artystyczną — w programie znalazł się utwór, który wykonał 40 lat temu, 3 lutego 1945 r. w wolnym Krakowie. W tej samej sali, ten sam dyrygent Zygmunta Latoszewski stał się główną postacią wieczoru, który w wymiarze historycznym łączy się z ofensywą Armii Radzieckiej, niosącej umęczoną Polskę wyzwolenie od zbrodniczej okupacji niemieckiej.

O godz. 19.30 przez głośniki, zamontowane na sali koncertowej, uczestnicy wysłuchali koncertu po wyzwoleniu Filharmonii Krakowskiej stała się pośłowa sprawozdawcy muzycznego Jerzego Bresticzera, który

wprowadził krakowski koncert na antenę Polskiego Radia. Zygmunta Latoszewskiego Wielkopolańczyka, który w czasie tułaczki wojennej znalazł się w Krakowie, świętym muzyk, doskonały dyrygent poprowadził wykonanie przez orkiestrę Hymnu Narodowego — tak samo, jak było 40 lat temu.

Dyrektor Filharmonii Krakowskiej Wiesław Kolankowski odniósł się z należytą czcią do artysty tak znakomitego i wytrwałego w służbie sztuce ojczystej, jak dyrektor Latoszewski. Od pierwszego koncertu po wyzwoleniu Filharmonii Krakowskiej stała się pośłowa sprawozdawcy muzycznego Jerzego Bresticzera, który

narodowej sztuce. Mówca dziękował władzom miasta za opiekę, za życzliwość, troskę o muzykę krakowską, o filharmonię. W trybie pierwszeństwa dyrektor Kolankowski wręczył Zygmunutowi Latoszewskiemu Medal 40-lecia Filharmonii Krakowskiej, ufundowany przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu m. Krakowa, wykonany wg projektu Krzysztofa Nitche. Gratulacje i oklaski, prawdziwe wzruszenie melomanów towarzyszyły tym gestom tyleż głębokim, co pięknym.

Zygmunta Latoszewskiego dyrygował „Odwiecznymi Pieśniami” Mieczysława Karłowicza. Następnie orkiestra Fil-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Militaryzacja kosmosu to koniec procesu ograniczania i redukcji zbrojeń jądrowych

Odpowiedzi Konstantina Czernienki na pytania korespondenta amerykańskiej sieci telewizyjnej CNN

MOSKWA (PAP). Konstantin Czernienko oświadczył, że chociaż nadchodzą rokownicze rozmowy o ograniczeniu zbrojeń jądrowych, to nie ma nadziei na ich sukces, jeśli tylko obie strony przejawiają dobrą wolę i gotowość do rozsądnego kompromisu, a także będą ściśle przestrzegały zasady równości i jednakowego bezpieczeństwa.

Odpowiadając na pytania skierowane do niego przez szefa moskiewskiego oddziału amerykańskiej sieci telewizyj-

nej CNN, przywódca radziecki wskazał, że ustalenia genewskie otwierają takie możliwości. Zaznaczył przy tym, że u podstaw porozumienia osiągniętego w Genewie leży pragnienie, a zarazem jedynie możliwy w obecnych warunkach program rozwiązania problemów zbrojeń jądrowych i kosmicznych, dodając, iż broń jądrową nie da się ograniczyć, a tym bardziej zredukować, nie podejmując efektywnych środków uniemożliwiających militaryzację kosmosu.

K. Czernienko zaapelował o uczciwe wprowadzanie w życie ustaleń genewskich oraz o ścisłe przestrzeganie w praktyce wszystkich aspektów tego porozumienia. Podkreślił, że delegację radziecką poinformowano, by działała właśnie w ten sposób i tego samego ZSRR oczekuje od strony amerykańskiej.

Odpowiadając na jedno z pytań, K. Czernienko zaakcentował, że Związek Radziecki nie dlatego wypowiada się tak

Porozumienie między związkowcami Polski i NRD

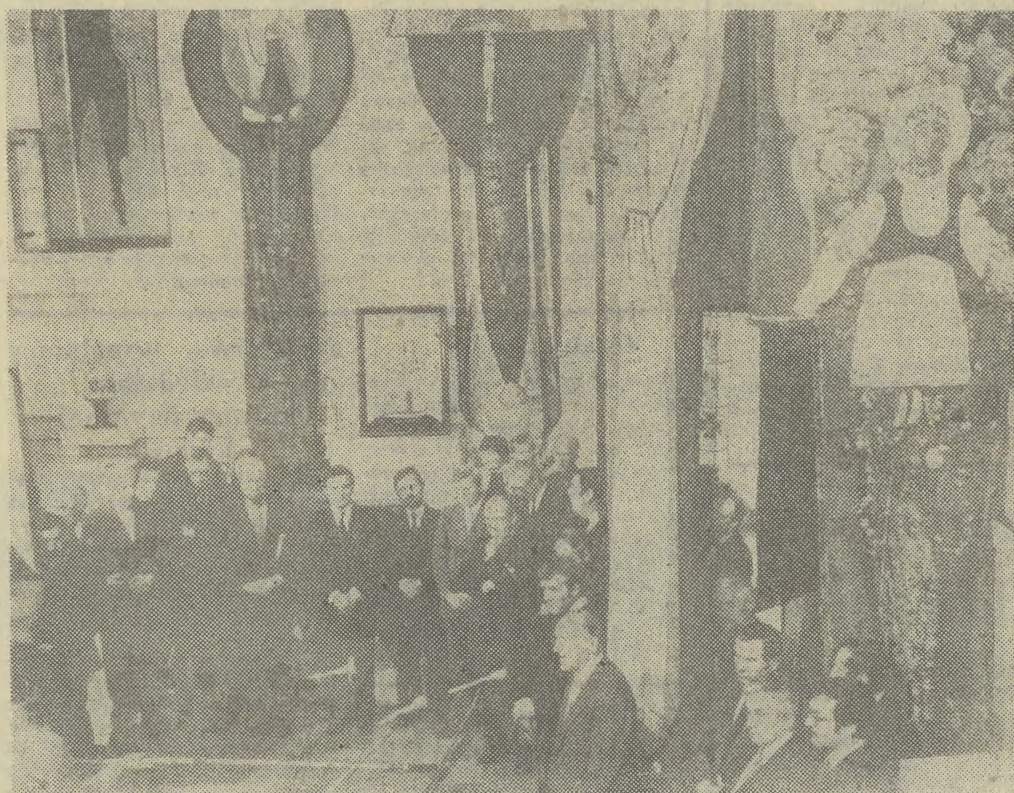
WARSZAWA (PAP). Na zaproszenie Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych przebywała w Polsce z oficjalną wizytą delegacja Zarządu Głównego Zrzeszenia Wolnych Niemieckich Związków Zawodowych (FDGB) z zastępcą przewodniczącego Zarządu Głównego Johannem Toepferem. Podczas rozmów delegacji związkowców obu krajów wyrażono zadowolenie z dotychczasowej współpracy i nakreślono perspektywy jej dalszego rozwoju w br.

OPZZ i FDGB postanowiły intensyfikować w 1985 r. wymianę doświadczeń we wszystkich dziedzinach działalności związkowej; wymienić po 55 tys. urlopowców z każdej strony między zakładami pracy PRL i NRD oraz po 5 tys.

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

Galeria Władysława Hasiora otwarta

Wielki dzień kultury pod Giewontem



Fot.: OTTO LINK

(Inf. wł.) Po 10 latach zmagania w Zakopanem dokonano otwarcia galerii wybitnego artysty plastyka Władysława Hasiora. Galeria mieści się w za-

adaptowanym budynku dawnego, ma ona charakter autorski, ukazuje twórczość i dorobek artystyczny Hasiora. O kolejnym oddziale Muzeum Tatrzańskiego im. T. Chałubi-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Związki zawodowe powinny powtórnie stać się mecenasem kultury robotniczej

(Inf. wł.) Przedstawiciele największych w kraju zakładów domów kultury, bibliotek i klubów oraz liczna grupa aktywistów związkowych przybyli do Krakowa, by wziąć udział w rozpoczętym wczoraj dwudniowym Ogólnopolskim Seminarium Związków Zawodowych.

Obrady plenarne oraz spotkania seminaryjne poświęcone są omówieniu „Kulturalnej działalności upowszechnieniowej w pracy związków zawodowych”. Celem seminarium jest zwrócenie uwagi na problem kultury robotniczej, a zwłaszcza na instytucje, mające służyć jej wszechstronnemu rozwojowi. Działalność kulturalna w zakładach pracy powinna znów stać się przedmiotem zainteresowania związków zawodowych, które są już na tyle zorganizowane, że śmiało mogą powrócić do roli mecenasa szeroko rozumianej działalności kulturalnej, artystycznej i twórczej świata pracy.

W uroczystości otwarcia seminarium uczestniczyli m.in. przewodniczący KR PRON — Ryszard Zieliński, wiceprezydent m. Krakowa — Jan Nowak oraz zastępca kierownika Wydziału Kultury KK PZPR — Edward Byszewski.

Czy należy dalej tak czynić?

W numerze 4 „Tygodnika Powszechnego” z 1985-01-27 zostało opublikowane słowo biskupów kieleckich dotyczące parafii w Bolesławiu. Wystąpienie to można by potraktować jako wewnętrzny głos wiaryzących — członków kieleckiej diecezji, gdyby nie kilka refleksji natury ogólnej. Zajął się parafii bolesławickiej przedstawiciel Telewizji w raporcie z 4 stycznia 1985 r. Jest on na tyle znany, że warto tylko przypomnieć iż dotyczy on protestu parafian przeciwko zmianie dotychczasowego proboszcza. Wolno biskupom kieleckim w swoim słowie mówić o nielicznej grupie protestujących, wolno ich potępić i przedstawić swoją wersję wydarzeń. Tego nikt nie neguje. Warto jednak w kontekście szkoły — także bez zgody ad-

ministracji — wtargnąć do placówki? I to mimo głoszonego również obojętności pozytywnego wpływu na wychowanie młodego pokolenia. Czyż nie także budził niesmak i sprzeciw zdrowo myślącego społeczeństwa. Czytamy dalej w słowie biskupów kieleckich: „Polska Telewizja przedstawia w swym repertuarze fałszywy obraz faktów bez dokonania konfrontacji z osobami, które zostały oszczerzone”. Proszę wybaczyć, ale ostatnio widzieliśmy zbyt wiele razy rzeczniczkę opinii publicznej chcących uzyskać choćby słowo wyjaśnienia, słowo komentarza o wielu zdarzeniach mających charakter raczej polityczny i publiczny, a nie liturgiczny, że aż ciśnie się na usta pytanie, czy zasady, o które dopomin-

ają się w celu organizacji okupacji państwowej placówki? I to mimo głoszonego również obojętności pozytywnego wpływu na wychowanie młodego pokolenia. Czyż nie także budził niesmak i sprzeciw zdrowo myślącego społeczeństwa. Czytamy dalej w słowie biskupów kieleckich: „Polska Telewizja przedstawia w swym repertuarze fałszywy obraz faktów bez dokonania konfrontacji z osobami, które zostały oszczerzone”. Proszę wybaczyć, ale ostatnio widzieliśmy zbyt wiele razy rzeczniczkę opinii publicznej chcących uzyskać choćby słowo wyjaśnienia, słowo komentarza o wielu zdarzeniach mających charakter raczej polityczny i publiczny, a nie liturgiczny, że aż ciśnie się na usta pytanie, czy zasady, o które dopomin-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Uniwersytet Jagielloński: spośród niemal 1,5 tysiąca słuchaczy ostatniego roku studiów pracy magisterskiej w pierwszym terminie bronią 373 osoby.

Politechnika Krakowska: na przeszło tysiąc studentów ostatniego roku pracę dyplomową składa (i ewentualnie broni) w pierwszym terminie 21 osób; niemal wszystkie pozostałe otrzymują zgodę na trzymiesięczne przesunięcie terminu.

Akademia Górniczo-Hutnicza: spośród studentów, którzy przed kilku laty rozpoczęli naukę na I roku, w terminie skończyło studia 40 procent. W poprzednim roku akademickim wskaźnik był podobny — 41 procent.

Nie o wystawianiu cenzur poszczególnym uczelniom tu chodzi; nie podjąłbym się tego nawet w oparciu o pełne dane, jakie mi udostępniono, gdyż problem jest bardzo złożony, a każda szkoła wysza odznacza się własną specyfiką. Dobrałem tych kilka liczb dla zilustrowania niepokojących rozmiarów zjawiska, o którym będzie mowa.

UROKI „PARKINGU”

Zacznijmy od odpowiedzi na podstawowe pytanie: czym są studia? Odpowiedzi będą różne, w zależności od tego, czy punkt widzenia przyjmujemy. Dla państwa, dla gospodarki narodowej studia wyższe są sposobem wykształcenia specja-

DYSCYPLINA na urlopie diekańskim

LESŁAW PETERS

listów o wysokich kwalifikacjach, ludzi zdolnych do obejmowania stanowisk odpowiedzialnych, wymagających nieraz pracy twórczej. Dla nauczycieli akademickich kształcenie studentów jest po prostu zawodem, czasem powołaniem. Dla studentów natomiast pobyt na uczelni ma przynajmniej dwa aspekty: nominalnie ich cel jest zbieżny z celami gospodarki — mają zdobyć kwalifikacje konieczne do obejmowania pewnych stanowisk, faktycznie jednak bardzo silnym motywem podejmowania studiów, nie w pełni czasem nawet uświadamianym sobie przez dziewiętnastoletnią, jest chęć „przedłużenia młodości”, chęć oddalenia o kilka lat perspektywy pójścia do pracy. Częściowo tym tego potwierdzeniem są wyniki egzaminów wstępnych, które wskazują na istnienie co roku dość licznej grupy maturzystów nie posiadających ani predyspozycji do studiów, ani nawet odpowiednich zainteresowań.

Motyw, który określiłem tutaj umownie „przedłużeniem młodości”, a który w literaturze naukowej pojawił się pod wymownym hasłem „teorii parkingu”, w trakcie studiów ulega silnemu wzmocnieniu. Życie studenckie poza stresami egzaminacyjnymi dość szybko zaczyna ujawniać wiele atrakcyjnych stron. Pozwala uczestniczyć w imprezach kulturalnych i rozrywkowych organizowanych przez kluby studenckie, dla wyportowanych są sekcje AZS, dla ambicznych — koła naukowe. Niezapomnianych przeżył dostarczają obojętne, istnieją też możliwości wyjazdów za granicę, o jakich trudno będzie marzyć przez ładnych parę lat po podjęciu pierwszej pracy. Dzięki „Zaczekowi” przysługiwają studentka kieszeń może stać się znacznie bardziej zasobna niż kieszeń absolwenta z dyplomem. W końcu, nawet stresy egzaminacyjne nabierają szczególnego koloru i po latach są wspomniane z lekka w oku. Ech, nie ma to jak studiować... I studium „wieczni student” po osiem, po dziewięć lat!

Powie ktoś: poczucie obowiązku, świadomość obywatelska dorosłych przeleci ludzi powinny dopinguować ich do terminowego kończenia studiów; wskazać wykształcenie studenta wiąże się z niełatwymi kosztami, które ponosi całe społeczeństwo i te dodatkowe lata czujnej nauki biją nas wszystkich po kieszeni. Wpierw jednak

należałoby młodych ludzi wstępujących w progi szkoły wyższej nauczyć sensu słów „obowiązek”, „świadomość obywatelska” i jeszcze paru innych. Powinno to robić przede wszystkim szkoła średnia, ale uwikłana w kłopoty kadrowe i wyposażona w przestarzałe pod wieloma względami programy robi to źle i nieskutecznie. Z kolei uczelnia większą uwagę kierującą na przygotowanie zawodowe; zaledwie trzy z krakowskich szkół wyższych dysponują spreżowanymi programami wychowawczymi. Zresztą i tak w uczelni jest już za późno na działania wychowawcze, jeśli nie było ich na etapie szkoły średniej, a jeszcze wcześniej podstawowej.

Narzekamy na młodzież, wytykamy jej brak dyscyplinowania, konsumpcyjny stosunek do życia, beśceowość, ale młodzież jest taka, jaką ją sami wychowaliśmy.

TERMINY TYLKO DLA FRAJERÓW?

Nic nie pomaga same apele, nieskuteczny może też okazać się przywracany obecnie system nagród rektorskich za wyniki w nauce. Jeśli poważnie myśleć o podniesieniu dyscypliny studiów, konieczne jest stworzenie warunków wręcz wymuszających na studentach do trzymywania terminów kończenia kolejnych lat nauki i obrony pracy dyplomowej. Osiągnąć to można tylko przy pomocy odpowiedniego systemu zachęt i rygorów działających tak na szczeblu uczelni jak i gospodarki narodowej.

O tworzeniu takiego systemu trzeba pomyśleć jak najszybciej, bo dziś studenta dosłownie... zniechęca się do terminowego opuszczenia uczelni.

Podczas jednej z narad z prorektorami uczelni technicznych kraju dyrektor Departamentu Studiów Technicznych Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki zaapelował o potraktowanie uczelni jak normalnych zakładów pracy, w których obowiązują plany produkcyjne. W myśl tego założenia absolwentów też powinno się „produkować” zgodnie z planem. Na to jeden z uczestników narady zapisał: „Jak to zrobić, skoro bierzemy do obróbki produkt za 25 tys. zł, bo taką płacę może otrzymać absolwent technikum, a wypuszczamy produkt za 8 tys. zł, bo tyle otrzymuje absolwent wyższej uczelni w pierwszym miejscu zatrudnienia?”

O absurdzie systemu placowego rozbija się w Polsce wiele postulatów i przedsięwzięć w dziedzinie szkolnictwa wyższego i polityki zatrudnienia. Stale maleje odsetek młodzieży robotniczej i chłopskiej ubiegającej się o indeks, gdyż dyplom przestał być wyznacznikiem awansu materialnego i społecznego. Nie zawsze na studia trafia młodzież najzdolniejsza; młody człowiek z głową na karku woli zaangażować swój potencjał intelektualny w prowadzenie własnego interesu zamiast w studia. Absolwenci uczelni też kierują się zmysłem ekonomicznym, idą do firm polonijnych, otwierają prywatne przedsiębiorstwa. Ci natomiast, którzy nie widzą przed sobą takich perspektyw, nie mają zasadniczo żadnego bodźca do terminowego, a tym bardziej wcześniejszego bronięcia pracy dyplomowej, co niegdyś bywało zjawiskiem nie tak znów rzadkim. Państwo w trybie ministerialnych zaleceń i rozporządzeń nakładania do terminowej realizacji procesu dydaktycznego w szkole wyższej, ale w płaszczyźnie ekonomicznej zniechęca do szybkiego kończenia studiów.

(CIĄG DALSZY NA STR. 3)

Współpraca
gospodarcza

Polski i Indii

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)
strony indyjskiej minister
Vasant Sathe.

Przedyskutowano stan realizacji ustaleń poprzedniej VIII Sesji, która odbyła się w grudniu 1983 r. w Nowym Delhi oraz ustalono kierunki dalszego rozwoju stosunków gospodarczych między oboma krajami. Uznano, że droga do intensyfikacji wzajemnego handlu nie widzieli już tylko przez zwiększone dostawy surowców z obu stron, lecz przez współpracę przy maksymalnym wykorzystaniu tych surowców oraz przez wzrost produkcji przemysłu przetwórczego. Obie strony były zgodne, że współdziałanie w przemyśle powinno być wspierane przez bezpośrednią współpracę naukowo-techniczną między instytutami i placówkami badawczymi obu krajów.

Ustalono, że w drugiej połowie br. nastąpi uzgodnienie i podpisanie wieloletniej umowy handlowej i płatniczej na lata 1986—1990 oraz porozumienia o wzajemnych dostawach towarowych w tym okresie.

Porozumienie między
wiązkowcami

Polski i NRD

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)
miejsce w ramach skierowań
wczasowych za pośrednictwem
FWP; zaprosić na zasadach
wzajemnych po 1 tys. osób na pobyt letniskowy
i profilaktyczny; zorganizować
— z inicjatywy organizacji
wiązkowych partnerów
zakładów pracy — na
zasadzie wzajemnej wymiany
kolonijalnej wakacje dla
15 tys. dzieci związkowców
obu krajów; ponadto — w
ramach uzgodnień między
rządami PRL i NRD —
FDGB zapewni, że zakłady
we organizację związkową
NRD przynajmniej bezpłatnie
25 tys. dzieci polskich na
pobyt od 14 do 18 dni w czasie
tegorocznych wakacji letnich
w zakładachowych ośrodkach
wczasowych NRD.

Jubileusz

Mariana Kuszy

Wczoraj jubileusz 40-lecia
pracy zawodowej obchodzili
Marian Kusza — kustosz,
kierownik Biblioteki Czartoryskich. Z tej okazji odbyło
się w Muzeum Narodowym
uroczyste spotkanie, w trakcie
którego kierownik Wydziału
Kultury KK PZPR Stanisław
Franzacki złożył
Jubilatu serdeczne życzenia
i przekazał list gratulacyjny
od sekretarza KK PZPR
Jana Czepliaka.

Życzenia i list gratulacyjny
od prezydenta m. Krakowa
przekazał również dyrektor
Wydziału Kultury i Sztuki
UM Tadeusz Prokopiuk
KD PZPR. Środowisko
przekazał i sekretarz
Ryszard Borowiecki.

W trakcie spotkania
dotychczasowy jubilat
wspomniawszy o długich
lat pracy zawodowej.

Wielki
dzień kultury
pod Giewontem

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)
roli kulturowej galerii w
regionie tatrzańskim mówił
dyrektor Muzeum Tatrzańskiego
Tadeusz Szczępanek. Obecny
na uroczystości otwarcia minister
kultury i sztuki Kazimierz
Żygulski powiedział m. in. „Na
mapie kultury Polski, Europy
i świata dzięki zbiorowemu
wysiłkowi przybył nowy punkt,
galeria Władysława Hasiora”.
Artysta nie ukrywał swego
ogromnego wzruszenia, oświadczając
iż wszystkie prace znajdujące
się w galerii, a jest ich 90
prekazuje na rzecz Zakopana.
Nastąpił więc wielki
dźwięk wybranych artystów
dla społeczeństwa. Władysław
Hasior z rąk ministra kultury
i sztuki Kazimierza Żygulskiego
otrzymał Medal 40-lecia Polski
Ludowej.

W uroczystości wzięli
również udział: członek Biura
Politycznego KC PZPR Hieronim
Kubiak, sekretarz KW PZPR
w Nowym Sączu Janusz
Tomalski, wojewoda nowosądecki
Antoni Rąkacz, przewodniczący
WRN w Nowym Sączu
Władysław Trybun, poseł na Sejm
PRL Stefan Dziedzic, sekretarz
KM PZPR Andrzej Wargowski,
przewodniczący MRN Kazimierz
Moidzierz i naczelnik
miasta i gminy Robert Klak.

OGŁOSZENIA
EKSPIRESOWE

KOMPLET narzędzi do produkcji
dzwonków „gong” — tanio
sprzedam. Tel. 11-02-08, wieczór.
8-47088

„TRAPEZ” — sofa, kołyszka, fotel,
„Compacty”, kolumny —
sprzedam. Tel. 11-19-11. 8-47386

POZUKUJE nauczyciela
dziewiarstwa maszynowego (swetry)
— posiadam maszynę nr 5. Oferty
z 47994 „Prasa” Kraków, Włó-
na 2.

Militaryzacja kosmosu
to koniec procesu ograniczania
i redukcji zbrojeń jądrowych

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

stanowczo przeciwko rozszerzaniu
wysięgu zbrojeń na
przestrzeń kosmiczną, iżby
nie mógł odpowiedzieć na poczy-
nienia amerykańskie w tej
dziedzinie stosownymi kon-
trolemi, lecz dlatego, że
militaryzacja kosmosu stałaby
się katalizatorem niekontrolowa-
nego wysięgu zbrojeń we
wszystkich dziedzinach, że o-
znaczałaby faktyczny koniec
procesu ograniczania i redu-
kcji zbrojeń jądrowych oraz
podważałaby wiele obowiązują-
cych obecnie porozumień
międzynarodowych, w tym m.
in. bezterminowy radziecko-
amerykański układ w sprawie
ograniczenia systemów obrony
przeciwkrośowej.

Rozwijając te myśli, przy-
wódca radziecki zwrócił uwa-
gę, że tzw. inicjatywa w dzie-
dzinie obrony strategicznej, o-
głoszona przez R. Reagana,
jest w istocie rzeczy koncepcją
ofensywną, a nawet agresywną,
ponieważ — jak podkre-
ślił — zmierza do rozbrojenia
drugiej strony, do pozabawienia
jej możliwości zadania kon-
troli w wypadku agresji

jądrowej. K. Czernienko prze-
strzegł jednocześnie, że jeżeli
ZSRR zostanie zmuszony, to
uczyni wszystko, tak jak wie-
lokrotnie w przeszłości, by za-
pewnić bezpieczeństwo sobie,
a także swoim sojusznikom i
przyjaciółom.

Komentując, w odpowiedzi
na kolejne pytanie, obecny
stan stosunków radziecko-
amerykańskich K. Czernienko
zauważył, iż fakt osłabienia
przez oba kraje porozumienia
w Genewie bynajmniej nie
oznacza, że przyczyny napięć
występujących na świecie sta-
łyby wyeliminowane. W tym
kontekście zwrócił uwagę, że
jak dotychczas, Stany Zjedno-
czone nie poniechały żadnego
ze swych programów zmierz-
ających do zapewnienia USA
przewagi wojskowej ani nie
przerwały rozmieszczenia
swych nowych rakiet jądrowych
w Europie Zachodniej. USA
— powiedział — nie re-
zygnują również z metod dyk-
tatu wobec innych państw.
Wszystko to sprawia, że sto-
sunki między Związkiem Ra-
dzieckim i Stanami Zjedno-
czonymi nie są obecnie najlepsze,
co musi się odbić na całej sy-

tuacji międzynarodowej, która
nadal jest skomplikowana i
napięta.

Przywódca radziecki wyraził
pogodę, że pozytywny wynik
nowych radziecko-amerykań-
skich rozmów miałby korzyst-
ny wpływ na sytuację w
świecie, byłby doniosłym kro-
kiem na drodze rozwiązania
najważniejszych problemów
współczesności. Oznajmił je-
nocześnie, że poczynania
Związku Radzieckiego pójdą
właśnie w tym kierunku.
ZSRR — powiedział — będzie
zabiegać o osiągnięcie wadliwych
i konkretnych rezultatów w
Genewie. Jednakże — zazna-
czył — nie wszystko zależy ty-
lko i wyłącznie od strony ra-
dzieckiej.

K. Czernienko wskazał je-
nocześnie, że trwałemu za-
hamowaniu wysięgu zbrojeń
oraz powodzeniu negocjacji
sprzyjałyby rezygnacja USA
z przykładem Związku Ra-
dzieckiego, z użycia jako stro-
na pierwsza broni atomowej, a
także zamrożenie arsenałów
jądrowych i całkowity zakaz
wszelkich prób z bronią nu-
klearną.

Muzycy podwawelscy w dniach
wielkiego jubileuszu

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

harmonii Krakowskiej pod tą
samą dyrekcją towarzyszyła
Reginie Smendziance w Kon-
cercie Fortepianowym f-moll
Fryderyka Chopina (40 lat te-
mu grał ten koncert Zbigniew
Drzewiecki). Kierownik arty-
styczny Filharmonii Krakow-
skiej im. K. Szymanowskiego
Zbigniew Strugała poprowa-
dził Symfonię Piotra Czajkows-
kiego.

Oczywiście niezwykle okaza-
ją jubileuszową wymagała od
muzyków wielkiej dyscypliny
wykonawczej. Ocena samej
strony muzycznej musi tu je-
dnak iść w parze z oceną fak-
tów historycznych, wielkiego

działa wyzwolenia prastarej
polskiej stolicy i początku od-
rodzenia naszej kultury. Kra-
kowski symfonicy już 40 lat
temu udowodnili, że są gotowi
poddąć to zadanie. Wzrost
artystów podporządkowany
został — jak sądzić — wielkie-
mu patosowi chwili, ale nie do
tego stopnia, by uderzała na
tym muzyka. Wyrażała ona na-
szą radość z trwałych osiągnięć
Filharmonii Krakowskiej,
znanotowanych w anna-
łach muzycznych Polski, Eu-
ropy i świata, na płytach i
taśmach, w naszej pamięci. We
wczorajszym wieczorze wziął
udział obok licznych meloma-
nów wiceprezydent m. Kra-
kowa Wiesław Gondek. Obec-

ny był konsul generalny ZSRR
w Krakowie Georgij Rudow.

Wczoraj w godzinach przed-
południowych przedstawiciele
dyrekcji i zespołu Filharmonii
Krakowskiej złożyli kwiaty
na grobie swego patrona Ka-
rola Szymanowskiego w Kryp-
cie Zasłużonych na Skałce.
Podobnie złożono kwiaty na
grobach dyrektorów i kierow-
ników artystycznych Filhar-
monii im. Karola Szymanow-
skiego — Tadeusza Krzemiń-
skiego, Bronisława Rutkow-
skiego, Jerzego Gerta oraz
Stanisława Wiechowicza, który
przez pół roku kierował
chorem Filharmonii.

OLGIERD JĘDRZEJCZYK

Wystąpienie sekretarza stanu USA

Polityka zagraniczna R. Reagana
powinna się opierać o siłę militarną
i potęgę gospodarczą USA

WASZYNGTON (PAP). Se-
kretarz stanu USA George
Shultz i minister obrony Cas-
par Weinberger wygłosili w
czwartek wieczorem przemówie-
nia poświęcone głównym
kierunkom polityki zagranicz-
nej i militarnej Stanów Zjed-
noczonych.

G. Shultz skonstatował, iż
w ogólnych założeniach polity-
ki zagranicznej prezydenta
Reagana istotną rolę odgrywać
winny: siła militarna, potęga
gospodarcza Stanów Zjedno-
czonych oraz ścisły sojusz z
krajami podzielającymi poglądy
i filozofię gospodarczą i spo-
łeczną Stanów Zjednoczo-
nych.

Shultz podkreślił, iż celem
polityki zagranicznej USA jest
kształtowanie wydarzeń i ten-
dencji w świecie zgodnie z i-
deami i interesami Stanów
Zjednoczonych.

Mówiąc o stosunku USA do
ZSRR, sekretarz stanu oświad-
czył, iż niezależnie od ostrości
i rozmiarów konfliktów polity-
cznych i różnic, jakie dzielą
Stany Zjednoczone i Związek
Radziecki, oba mocarstwa za-
interesowane są w łagodzeniu
napięć i poszukiwaniu spo-
sobów kontroli zbrojeń i zmniej-
szenia groźby wybuchu wojny.
Nawiązując do genewskiego
spotkania z Andreim Gromy-
ką, Shultz wyraził pogląd,
iż oznacza ono konstruktywny
początek owocnych rokowań.

Shultz wypowiedział się rów-
nież za rozwojem kosmicznej
broni — przeciwkrośowej,
stwierdzając, iż może ona u-

czynić ofensywną broń atomo-
wą bezsilną i anachroniczną.
W ciągu następnych dziesięć-
ciu lat celem Stanów Zjedno-
czonych będzie radykalna re-
dukcja istniejącej i planowa-
nej broni nuklearnej, jak rów-
nież stabilizacja w stosunkach
pomiędzy ofensywnymi i de-
fensywnymi systemami broni
atomowej, zarówno na Ziemi
jak i w kosmosie — stwierdził
Shultz.

Sekretarz stanu USA wyra-
ził nadzieję, że świat wejdzie
w okres większej stabilności,
w okres poważnej redukcji
arsenałów nuklearnych i zwię-
kszonej zdolności odstraszania
opartej na większym niż dotąd
udziale nienuklearnej broni
defensywnej. Wyrażając po-
gląd, iż bezpieczeństwo kra-
jów Europy Zachodniej na-
leży do znaczenia dla Stanów
Zjednoczonych Shultz oświad-
czył, iż Waszyngton dąży be-
dzie do wzmożenia europejskiej
współpracy w dziedzinie
militarnej.

Mówiąc, iż Stany Zjednoczo-
ne zawsze pragnęły aby Euro-
pa Zachodnia stała się przy-
kładem dla całej Europy, se-
kretarz stanu USA stwierdził,
iż „obecny podział kontynentu
(europejskiego) jest całkowicie
sztuczny”. Stany Zjednoczo-
ne nigdy nie uznały go za prawo-
wity i trwały” — oświadczył.

G. Shultz powiedział, że
„nie oznacza to, iż Stany Zje-
dnoczone kwestionują obecne
granice państwowe w Euro-
pie”. Zdanie to Shultz dodał w
ostatniej chwili: nie było go

w tekście rozdany dzienni-
karom przed posiedzeniem
komisji senackiej.

Mówiąc, iż USA będą dążyć
do rozwiązania konfliktów na
arenie międzynarodowej przy
pomocy działań politycznych,
oświadczył jednak, że Stany
Zjednoczone nie zważają się
użyć siły militarnej, aby bro-
nić swych „życiowych intere-
sów”. Sekretarz stanu USA
wyraził również pogląd, iż
Stany Zjednoczone mają pra-
wo użyć siły militarnej „wszędzie
tam, gdzie zagrożona jest
wolność” i nie mogą uchylać
się od udzielania pomocy tym
siłom, które zwalczają komunizm.

Oznajmiając, iż Nikaragua
stanowi zagrożenie dla USA i
swych sąsiadów, Shultz o-
wiadczył, iż Stany Zjednoczo-
ne nie mogą tolerować rządu
komunistycznego w krajach
Ameryki Środkowej.

Minister obrony USA Caspar
Weinberger wyraził pogląd,
iż Stany Zjednoczone muszą
konsekwentnie realizować
wszystkie elementy wielolet-
niego programu modernizacji
rozwoju zarówno strategicz-
nych sił nuklearnych jak i sił
konwencjonalnych.

Weinberger dodał, że Stany
Zjednoczone, jeżeli okaże się
to technicznie możliwe, przy-
stąpią do budowy kosmicznej
broni przeciwkrośowej. Broni
tej — oznajmił on — Stany
Zjednoczone „nie traktują ja-
ko karty przetargowej w ro-
kowaniach ze Związkiem Ra-
dzieckim”.

Czy należy dalej tak czynić?

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)
ich święceń kapłańskich pu-
blicznie i uroczysto przyrzeka
swojemu biskupowi ordynariusz-
owski i jego następcę co do
„postulatu świętości”. Zatem po-
jawia się pytanie, czy animato-
rzy i autorzy przerwanych pe-
riodów stawianych przez gru-
pę księży i ich zwolenników.
Czytamy wreszcie, że „Każ-
dy ksiądz wreszcie w dniu swo-

im święceń kapłańskich pu-
blicznie i uroczysto przyrzeka
swojemu biskupowi ordynariusz-
owski i jego następcę co do
„postulatu świętości”. Zatem po-
jawia się pytanie, czy animato-
rzy i autorzy przerwanych pe-
riodów stawianych przez gru-
pę księży i ich zwolenników.
Czytamy wreszcie, że „Każ-
dy ksiądz wreszcie w dniu swo-

postulatu świętości swym zwierz-
chnikom?”
Wiele już uczyniono dla roz-
darcia Polaków i polskich ro-
dzin. Czy w imię bogostawie-
stwa dla ludzi dobrej woli —
jak kończy się postanie kielec-
kie biskupów — należy to
czynić dalej?

(elka)

Z dalekopisu

(m) MISS Francji została po-
zbawiona tytułu za to, że
wyraziła zgodę na opubliko-
wanie zdjęć przedstawiają-
cych ją nago w zalotowaniu
do ekskluzywnych pism po-
rograficznych francuskim
tygodniku „Lui”.

Jak poinformował wczoraj

ki konkurs i zostanie po-
zbawiona tytułu, który
przejmnie wiceprezesa
Carole Treille. Zdjęcia roz-
hodowane Isabelle Chan-
diou ukazywały się w tygodni-
ku „Lui” w 5 tygodni po
koncercie najpiękniejszej
Francuzki.

Jan Paweł II kończy wizytę w Ekwadorze

MEKSYK (PAP). Od godzin
wieczornych w czwartek pa-
pież Jan Paweł II przebywał
w Guayaquil — wielkim e-
kwadorskim porcie nad Pa-
cyfikiem. W piątek w godzi-
nach popołudniowych odwie-
dził dzielnicę nędzy z Guas-
mo, wzniesioną na południo-
wych krańcach portu.

Papież wygłosił tam prze-
mówienie, w którym wyraził
swą solidarność z biedakami,
a równocześnie zwrócił się z
apelami do rządów wielu kra-
jów wyzwalając je, aby „za-
pewniły większą równość so-
cjalną”. Następnie Jan Paweł
II przeleciał na pokładzie he-

liptera nad tą dzielnicą nę-
dzy udając się na elegancką
esplanadę de Los Samanes,
gdzie odprawił mszę dla 400
tys. wiernych.

Istotnym punktem progra-
mu pobytu papieża w Guaya-
quil była msza odprawiona
przez Jana Pawła II w miej-
scowym kościele pod wezw-
aniem Matki Boskiej Czę-
stochowskiej. W maju 1981 r.
miejscowy biskup ślubował,
że wybuduje kościół pod ta-
kim właśnie wezwaniem, je-
śli papież wyzdrowieje po
zamachu. Kościół został wnie-
siony dzięki pomocy finanso-
wej Libañy Jose Asafa.

Minister K. Żygulski w Krakowie

Wczoraj gościł w Kra-
kowie minister kultury i sztuki
prof. Kazimierz Żygulski.
W spotkaniu w Urzę-
dzie Miasta Krakowa u-
dział wzięli prezydent mia-
sta Krakowa Tadeusz Sal-
wa, wiceprezydent Jan No-
wak oraz dyrektor Wy-
działu Kultury i Sztuki
Urzędu m. Krakowa Ta-
deusz Prokopiuk.

W czasie spotkania mi-
nister został poinformowa-
ny o przebiegu prac przy
rozbudowie Muzeum Na-
rodowego, realizacji III e-
tapu Domu Kultury w No-
wej Hucie, zapoznano go z
problematyką remontów
bazy kulturalnej miasta i
wyposażenia placówek kul-

tury. Kolejnym, ważnym
tematem, nad którym dys-
kutowano, była budowa
zaplecza dla teatrów kra-
kowskich oraz budowa Te-
atru Muzycznego. Minister
okazał duże zainteresowa-
nie tymi sprawami oraz o-
biecał wsparcie dla władz
Krakowa w staraniach o
pomyślne ich załatwienie.
Prof. Żygulski interesował
się stanem rozrywki w
Krakowie, obchodami Dni
Krakowa i innymi impre-
zami o charakterze mi-
ędzynarodowym i ogólno-
polskim odbywającymi się
w Krakowie, a także wy-
mianą kulturalną Krako-
wa z miastami zaprzyjaź-
nionymi.

W „Krakowskiej Kuźnicy”

Walery Namotkiewicz o politycznej
biografii Władysława Gomułki

(Inf. wł.) Wczorajsze spo-
tkanie w „Krakowskiej Kuź-
nicy” z doc. dr. Walerym Na-
motkiewiczem na temat po-
litycznej biografii Władysła-
wa Gomułki — „Wiesława”
zgrupowało, jak zwykle, lic-
zne grono uczestników. Przy-
byli na nie zważeni osobą
prelegenta, pełniącego przez
15 lat funkcję osobistego se-
kretarza Władysława Gomuł-
ki. Większość uczestników to
ludzie dobrze znający wszyst-
ko to, co dotąd powiedziano
i napisano o byłym i sekre-
tarzu KC PZPR. Wczoraj
chcieli jednak usłyszeć coś
więcej o tej tak niezwykłej, a
dla niektórych nawet kontro-
wersyjnej postaci. Chcieli u-
słyszeć informacje oryginalne
i nie publikowane, oceny wła-
sne prelegenta.

I rzeczywiście. Prelegent
przedstawił z dużą dozą szcze-
rości i bezpośredniości wiele
mało znanych fragmentów z
bogatego życia politycznego
Władysława Gomułki. Wszec-
stronnie np. uzasadniał myśl
o niesłużnych i wręcz krzyw-
dzących posadzeniach „Wie-
sława” o jego konfliktach.
Był on, jak mówił prelegent,
człowiekiem walki i porozu-
mienia, zawsze i w każdej sy-
tuacji.

Bardzo żywa i miejscami
polityczną dyskusję cechowa-
ła dociekliwość o prawdę ży-

cia i pracy wieloletniego przy-
wódcy partii. Pytano o jego
cechy charakteru, o znaną
skromność, która niekiedy
bywała wręcz „trudna do
znieślenia”. Podczas spotka-
nia padały wyjaśnienia, które
obalają nieuzasadnione stereo-
typy. Oto np., mówił Walery
Namotkiewicz, niektórzy im-
putują Władysławowi Gomuł-
ce, że był ponoc wrogiem
wszelkich zagranicznych kre-
dytów. Prawda zaś polegała
na tym, że jego dewiza, wy-
powiadana publicznie, było:
„Będziemy brać kredyty od
każdego, kto je nam udzieli,
byle bez warunków politycz-
nych oraz nie na cele kon-
sumpcyjne”. Zebrani zgodni
byli co do tego, że osoba Wła-
dysława Gomułki oczekuje
na wszechstronną, naukową
biografię, ale nim to nastąpi,
już wczoraj — zaprosili Wa-
lery Namotkiewicza na ko-
lejne spotkanie, po ukazaniu
się jego książki, w której —
jak sam to zapowiedział —
postara się przekazać Czytel-
nikowi przede wszystkim
wszechstronną informację o
życiu, pracy i walce tego wy-
bitnego przywódcy robotni-
czego. Książka ta ukaże się
jeszcze w bieżącym roku.

Spotkanie prowadził prezes
Klubu Tadeusz Holuj. Do pro-
blemów poruszonych podczas
spotkania powróćmy wkrótce
na naszych łamach. (sar)

Pierwszy tegoroczny
numer „Zdania”

(Inf. wł.) Numer pierwszy,
stycynowy „Zdania” a 34. w
kolejności, rozpoczyna się
artykułem Władysława Lu-
basia o „Społecznych uwa-
runkowaniach dzisiejszej pol-
szożycy”. Jest to solenny re-
ferat, który został wygłoszony
podczas Kongresu Kultury
Języka Polskiego. Po tym u-
kronie w kierunku imprez
szcześliwych, pismo przy-
stępuje do realizacji interesują-
cego bloku tematycznego o
naszym kontynencie, o Euro-
pie pt. „Czym jest, czym być
może”. Na temat Europy dy-
skutują: Ryszard Wojna, Mi-
chał Dobroczyński, Tomasz
Goban-Klas, Jerzy R. Nowak,
Marian Stepien, Janusz Sym-
onides i Andrzej Urbańczyk,
a wspierają ich dywagacje
prof. Jacques Le Goffa, z któ-
rym rozmowę przeprowadził
Marek Debowski oraz Jerzy R.
Nowak, który napisał „Sa-
siadką Europy” o małych
państwach Europy Środkowej
i ich problemach.

W cyklu tym mieści się rów-
nież T. Gobana-Klasa „Pul-
sujący kontynent” oraz Bo-
dana Góralczyka „Inni patrzą
inaczej”, artykuły będące o-
mówieniami książek J. Zar-
nowskiego „Dziesięć wieków
Europy”, Ortegii y Gasseta
„Rozmyślań o Europie” i
Krzysztofa Gawlikowskiego
„Postacie narodów w współ-
czesności”. Rozdział o Europie
upełnia artykuł Kazimierza
Krawczyka pt. „Europa Zachod-
nia szuka wspólnej kultury”,
Tamary Motylewskiej „Lit-
eratura dla świata”, Katarzyny
Sobolewskiej-Myslik „Kryzys
NATO?” oraz Jerzego S. Ła-
ki „Zrodzeni przez Europę”,
artykuł poświęcony Turkom,
uważającym się dziś za Eu-
ropejczyków.

A oto jak na to, co czeka
Europejczyków, patrzy artysta
Winieński

Jest rzecz ciekawa, że po-
eci i pisarze krócej i bardziej
przekonywająco oddają istotę
problemu, niż długie i rozległe
rozważania historyków czy
publicystów. Na dowód warto
przeczytać jeszcze fragment
wiersza Jarosława Iwaszkie-
wicza „Azja” zamieszczonego
zaraz na wstępie styczniowego
numera „Zdania”.

„I czy się nasza wiedza
naprawde wzbogaci
Gdy będziemy wiedzieli
Czyśmy Europejczycy, czyli
też Azjaci”

W nowym „Zdaniu” mamy
też kolejny odcinek „Fausta”,
w przekładzie Artura San-
dauera, w którym autor stara
się jedynie o to, aby za wszel-
ką cenę inaczej powiedział to
samo, co rzekł już poprzedni-
cy w translatorskim tłumie.
Poza tym ciekawy artykuł
Zygmunta Trzaski o twórczo-
ści Ryszarda Miłczewskiego —
Bruno, którego trzytomowy
wybór utworów przygotowuje
„Czytelnik”. Z kolei na temat
„Dna oka” Jerzego Adamskie-
go zabiera głos Marian Sie-
pien, a na temat kariery wy-
powiada się Sceptyk. Numer
zamyka znakomita myśl Ed-
munda Burke’a: „Dla triumfu
nie potrzeba tylko, żeby do-
brzy ludzie nie nie robili”.

(ks)

SPORT • SPORT • SPORT • SPORT

Alpejskie mistrzostwa świata

Szwajcar Zurbriggen
pokonał zdecydowanie rywali

W piątek w Bormio podczas
mistrzostw świata w narciar-
stwie alpejskim rozpoczął ry-
walizację mężczyzn. Odbył się
bieg zjazdowy zaliczany do
kombinacji.

Wyniki: 1. Zurbriggen (Szwaj-
caria) 2.00.36, 2. Luescher (Szwaj-
caria) 2.00.56, 3. Wasmaier (RFN)
2.01.59, 4. Brooker (Kanada)
2.01.78, 5. Mair (Włochy) 2.01.81,
6. Lewis (USA) 2.02.04.

Pierwin Zurbriggen od zwy-
cięstwa rozpoczął swe starty w
mistrzostwach świata w Bormio.
Nie jest to jeszcze wprawdzie
najważniejsze zwycięstwo, ale
pierwszy krok do złotej meda-
li w kombinacji został zrobio-
ny. Szwajcar na starcie piątko-
wego biegu zjazdowego był bar-
dzo zdenerwowany. Przeciwnik
niedawno opuścił szpital w Ba-

zylei, gdzie operowano mu le-
wą nogę lewego kolana. Na tre-
ningach jeździł dobrze, ale
szwajcarscy trenerzy nie ukry-
wali niepokoju. Zurbriggen roz-
wiązał te obawy w sposób bez-
dyskusyjny. Wygrał piątkowy
zjazd z przewagą 0.20 sek. nad
swym rodakiem Peterem Lues-
cherem. A trasa była wyjątko-
wo trudna, choć o 200 m krótsza
w porównaniu z tą, którą
pokonał uczestnicy otwartego
biegu zjazdowego. W nocy spadł
śnieg, co spowodowało, że „nio-
sio” znacznie gorzej, przede
wszystkim w górnej części tra-
sy. Zurbriggen opanował je-
dnak nerwy, pojechał doskonale
pod względem technicznym i
dość odważnie, choć niektórzy
uważają, iż nie wykorzystał
wszystkich swych atutów.

Wysokie zwycięstwo Podhala

PIĘKNY WIEK XIX

Metody walki z opozycją dalekie były jeszcze wtedy od doskonałości. W Imperium Romanowów nie urządzano i nie ułatwiano spektakularnych ucieczek przeciwników politycznych, aby ich w ten sposób kompromitować. Wręcz odwrotnie, Mikołaj I, Aleksander II, dostojnicy carscy uważali za dotkliwą porażkę wymknięcie się z carskiej matni na zachód takich zbiegów jak Władimir Pieczierin czy Michał Bakunin. Nie pozbawiano się wrogów wydając im paszporty na wyjazd za granicę. Trzeba było tylko kluczyć i „pelzając milczkiem” „ludzi despotę”, aby wydostać się spod skrzydeł dwugłowego orła carskiego. Udała się ta sztuka Adamowi Mickiewiczowi, który w roku 1829 legalnie opuścił państwo carów niemal w ostatniej chwili, gdy podjęto już decyzję o cofnięciu wydane go zezwolenia.

Mikołaj I i Aleksander II woleli mieć swoich przeciwników — poetów, myślicieli czy działaczy — blisko, czujnie nadzorowanych i mocno przykutek, w najbliższym zasięgu knuta. Toteż nietrudno sobie wyobrazić uczucia radcy dworu i niedawnego jeszcze zesłańca Aleksandra Hercena, gdy w grudniu 1846 roku udało się poprzez znajomości, kontakty i różne naciski uzyskać paszport na wyjazd za granicę. Formalną podstawą starań było zaświadczenie poczczonego rektora Uniwersytetu Moskiewskiego, chirurga Arkadiusza Alfonskiego, o tym, iż chorowana żona Hercena — Natalia — wymaga pilnie leczenia poza obrebnem Cesarstwa.

31 stycznia 1847 roku rodzina Hercenów w obitych futrami powozach opuściła Rosję. Z tytu — jak wspominał Hercen — pozostał słup graniczny, a na nim przypięty śniegiem i niedogotyby chudy orzeł z rozczapierzonymi skrzydłami. „Dobre chociaż to — przemknęło przed miastem odjeżdżającego radcy dworu — o jedną głowę mniej. Żegnajcie!”

Hercen miał lat trzydzieści pięć, kiedy po raz pierwszy opuścił Rosję. Dopiero jednak po

Wiosnę Ludów, gdy zobaczył wojska Mikołaja I, dławiące rewolucję w Europie, zdecydował się ostatecznie na los emigranta politycznego. Kiedy car zażądał jego natychmiastowego sta-

wienia się w Rosji, odpisał 23 września 1850 roku, iż nie wróci, albowiem nie ma żadnej pewności, czy powrót do kraju uchroni jego i rodziny przed smutnymi skutkami procesu politycznego, w którym sądzi się poglądy, teorie i na nich opiera wyroki.

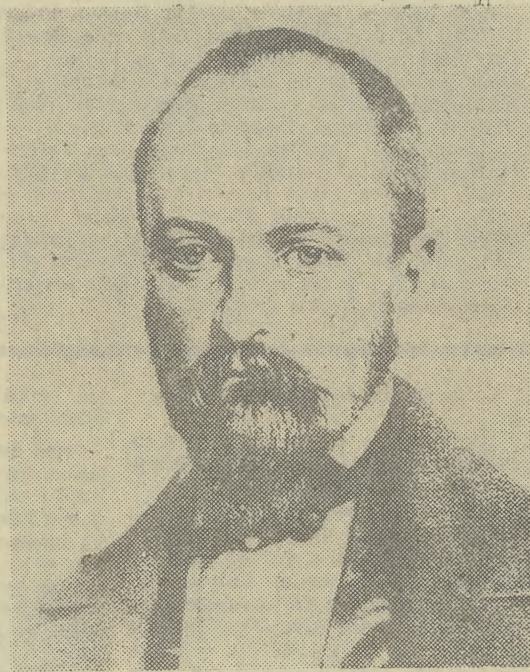
Na emigracji spędził Hercen resztę swego życia — dwadzieścia lat. Tam zdobył rozgłos ogólnoeuropejski. Redaktor „Polarnej Zwizdy” i „Kołokoła” stał się oddal, z Londynu i z Genewy, bożyszczem demokratycznej i radykalnej młodzieży rosyjskiej. Zmarł dość niespodziewanie, w pełni sił żywotnych, w wieku 58 lat w Paryżu.

Hercen nie żył długo, ale życie tych, co pozostali w kraju, było jeszcze krótsze i bardziej tragiczne: Rylejew zawiśł na szubienicy, Puszkina i Lermontowa zamordowano w spowodowa-

W prezentowanym dzisiaj fragmencie książki „PIĘKNY WIEK XIX” ponownie powracają echa powstania 1863 r. W poprzednich odcinkach autor przypomniał między innymi rolę jaką odegrali w styczniowym kryzysie włoscy patrioci. Polacy byli żywymi oceniani i szanowani przez emigrantów z carskiej Rosji. Jednym z wielu był Aleksander Hercen, po- stać chyba mało u nas znana.

JERZY W. BOREJSZA

PEAN dla EMIGRANTA



wanych pojedynkach. Czadajewa w wieku lat czterdziestu ogólnym ukazem uznano za obłąkanego. A wraz z nim wyłączone z życia w najbardziej twórczych latach całej plejadę najlepszych umysłów, jakimi dysponowała ówczesna Rosja. Losom tych rówieśników Hercen poświęcił wydaną w 1850 roku (od razu po francusku i niemiecku) pracę O rozwoju idei rewolucyjnych w Rosji. Pisał wprost, iż historia literatury rosyjskiej jest „martyrologią albo rejestrem katorżniczym”.

Pokazał Europie inną, nie znaną dotąd Rosję, prezentował ludzi i utwory, o których na Zachodzie nikt dotychczas nie słyszał, przemówił pełnym głosem, porzucając ów język Ezopa, do którego wdrożyło się jego pokolenie w kraju. Mosty za Hercenem były spalane. Nie wiedział tylko, że na zawsze.

Do końca swoich dni tęsknił za ojczyzną. Lubił się, że wróci. Jeszcze na łóżu śmierci, w styczniu 1870 roku, nie zdając sobie sprawy ze swego stanu, pytał córkę: „Właściwie dlaczego nie miałbym pojechać do Rosji?” Gdy dręczyła go nostalgia — nieodłączna towarzysząca wychodźstwa — zdawało się, że zapominał o tym, iż od roku 1850 wyrokiem „petersburskiego sądu kryminalnego” został uznany za „wiecznego banitę”.

Dostojewski — z całą bezwzględnością przeciwnika politycznego — mawiał, iż „Hercen u-

rodził się jako emigrant”. To prawda, że od studenckich lat Hercen nie akceptował rzeczywistości Rosji mikołajewskiej. Ale nie był „emigrantem wewnętrznym”, albowiem nie milczał, nie pogodził się z systemem, z zaszczuciem państwowego chłopca, z bezwolnością wobec Mikołaja Pałkina, z podeptaniem najbardziej elementarnych zasad ludzkiego koleżeństwa i przyjaźni. A nie było bynajmniej trudno o to, by się upodobił, upodobnił do większości.

Jak pisał Siłowscy: nawet o trzydzieście lat starszy od Hercena radca sądu moskiewskiego Wasyl Zubkow, człowiek przekonany liberalnych, kiedy Hercen przybiegł do niego na wieść o aresztowaniu Ogariowa, prosząc o wyjednanie spotkania z przyjacielem, poradził mu: „Niech się pan trzyma z daleka od tego wszystkiego; choćby nie wiem jak pan zabiegał, Ogariowowi pan nie po-

Perm — Wiatka — Włodzimierz — oto etapy Hercenowskiego zesłania. Już w Permle, w którym przebywał bardzo krótko, gubernator uprzedził Hercena, aby się nie zadawał z Polakami. Był to zbiegny tryb. Hercen natychmiast poznał starego zesłańcę — Piotra Clechanowicza, który na pożegnaniu ofiarował mu kilka ogniw z żelaznego łańcuszka.

To w tych latach — jak pisał nieślubny syn Aleksandra I, Polak-zesłańca, Gustaw Ehrenberg:

Gdziekolwiek nas wyrok cara zawleczł Oszukamy jego dumę, Poniesiem wrogi prawa człowieka Poniesiem wolność dżumę.

W Wiatce Hercen — dzięki moskiewskim i petersburskim znajomościom i koneksjom — trafił do tzw. „własnej kancelarii” gubernatora. Na tym stanowisku wielokrotnie zetknął się z problemami rosyjskiej wsi: niedzą chłopów, samowolą i okrucieństwem urzędników, łapownictwem, nieuczciwymi i płańtami. Po latach wspominał najbardziej kuriozalne ze spraw, w których musiał ferować wyroki: takie jak sławetna „sprawa zniknięcia nie wiadomo gdzie domu przodu gminnego i pogrzebienia planu owego domu przed myszy”.

W 1840 r. Hercenowi pozwolono na przeniesienie się do Petersburga. Zatrudniono go w kancelarii Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie miał sporządzać sprawozdanie roczne na podstawie informacji napływających z poszczególnych gubernii. Jak wspominał Hercen: Przezorność i góry pewne przyszłe wnioski, nie postawiając ich na pastwę samowolnych cyfr i faktów. A więc na przykład w naszkicowanym planie sprawozdania było powiedziane: „Na podstawie rozpatrywanych liczb i cech przestępczości (liczby i cechy nie były jeszcze znane) JWP raczy dopatrzeć się postępów moralności narodu i wyjątkowej akcji władz dla podniesienia takowej”.

Sprawozdanie tego Hercen nie napisał. Przez przypadek. Nie zagrażał bowiem długo miejsca w Petersburgu. Z własnej winy. Nie dla wiary ostrzeżeniem ojca, żeby najbliższych słów krytyki nie powierzać poczie, i w listopadzie 1840 roku relacjonując w liście nowinki stołeczne powtórzył głośno ówczesne plotkę, że stojący koło mostu Niebieskiego zarządn i ograbił jakiegoś kupca, przyłapanego na tym, przyznał się, że to już złote morderstwo w jego budce. I komentował ojcu: Na tej podstawie możecie sobie wyrobić zdanie o tutejszej policji. Urzędnik pocztowy, kontrolujący korespondencję, przesłał list wiadom policyjnym. W gazetach stołecznych ukazało się oficjalne dementi w sprawie stojkowego przy moście Niebie-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 4)

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

SKREŚLAĆ, NIE SKREŚLAĆ...

Uczelnie mają dwójakiego rodzaju instrumenty nacisku na studentów: formalne, czyli regulamin studiów i nieformalne. Regulamin studiów można byłoby oczywiście zastrzyć, gdyż w tej chwili umożliwiają studiowanie po 7-8 lat w majestacie akademickiego prawa. Dopuszczają one przedłużanie studiów z różnych powodów (powtórzenie roku wskutek złych wyników, urlop dziekański uzasadniony ważnymi okolicznościami, podjęcie dodatkowych studiów na innym kierunku) oraz opóźnienia w terminie obrony pracy dyplomowej.

Być może ramowy regulamin studiów, na którym opierają się regulaminy uczelniane jest nadzbyt liberalny i może np. powinno się odebrać prawo powtarzania raz w ciągu studiów jednego roku. Ale czy należy skreślać słuchacza, który uległ wypadkowi lub ciężko zachorował? Czy konieczność dłuższej opieki nad chorującym członkiem rodziny zamieszkałym daleko od miasta akademickiego musi oznaczać rezygnację z nauki? Czy na ogół już trzy lub czteroletni wysiłek włożony w pracę na studiach musi zostać przekreślony z chwilą urodzenia dziecka? Decyzja o zastrzeżeniu regulaminów studiów jest trudna nie tylko z przyczyn czysto ludzkich, lecz ryzykowna z powo-

Studenci uzbrojeni w paragrafy regulaminów pracownicy szlifują parkiety gabinetów dziekańskich i rektorskich. Wśród nich nie brak amatorów „przedłużonej młodości”, zwykłych kombinatorów — to prawda, ale jest też druga prawda: nie zawsze student winien jest powstającym opóźnieniom.

WINNA BYWA TEŻ UCZELNIA

Pierwszym zjawiskiem, z jakim oswoja się świeżo upieczony student jest odmienność niż w szkole średniej organizacja procesu dydaktycznego. Zajęcia odbywają się nie w zwartym bloku, lecz są mocno rozczłonkowane. Wynika to z trudności lokalowych uczelni, dostępności aparatury do wykonywania doświadczeń, czasem też z przyzwyczajenia wykładowców do określonych godzin zajęć ze studentami lub obciążenia innymi obowiązkami. Harmonogram dodatkowo komplikują lektoria języków obcych, zajęcia przysposobienia obronnego i wychowania fizycznego, do których trzeba na ogół dostosowywać resztę zajęć. W ciągu godzinowego czy dwugodzinowego „okienka” między wykładami student może oczywiście posiedzieć nad książką w bibliotece, ale pożytek z takiej nauki zwykle jest niewielki.

Jeszcze bardziej uciążliwy w trakcie ostatnich lat studiów bywa problem kontaktów z profesorem. Na współczesną szkołę wyższą na-

rynych włączyć asystentów gwarantujących stałą opiekę nad studentami?

Od doświadczonych naukowców i dydaktyków usłyszałem zgodną opinię, że uczelnie nie stwarzają właściwych warunków do napisania pracy dyplomowej. Zbyt mała w trakcie studiów liczba prac pisemnych powoduje, że student nie nabiera dostatecznej wprawy w pisanie i przy pracy magisterskiej napotyka nieoczekiwane trudności — twierdzi znany historyk, dyrektor Instytutu Historii UJ prof. dr hab. ANTONI PODRAZA. Wadą procesu dydaktycznego jest też rozdrobnienie egzaminów. Jeszcze po wojnie przez pewien czas egzamin z historii nowożytnej obejmował swym zakresem około 9 dzisiejszych egzaminów! Aby zdać tak duży egzamin trzeba było długo się przygotować, to uczyno umiejętność systematycznej pracy. Dziś młodzież przyzwyczajona, że materiał obowiązujący na egzaminie można opanować w ciągu kilku dni, podświadomie nastawia się na pisanie tym systemem pracy magisterskiej. A później nagle czasu zaczyna brakować.

Na kierunkach technicznych też nie brak problemów. Zapadł studenta rozbiła się nieraz o brak materiałów lub odczynników, o dostęp do stanowiska badawczego. Prorok Politechniki Krakowskiej prof. dr hab. inż. WŁADYSEAW ZIOBRON wskazuje na inną jeszcze kwestię. Praca dyplomowa często ma charakter konkretnego projektu o znaczeniu użytkowym. Ten typ prac jest najwartościowszy: student podczas ostatnich roku nauki podejmuje pracę zbliżoną do tego, co będzie w przyszłości robił jako inżynier, a jednocześnie gospodarka wzbogaci się o nowe rozwiązanie — projekt drogi, mostu lub budowli przemysłowej. Jednakże już po podjęciu tematu przez studenta okazuje się, że nie ma dokumentacji terenu, dla którego ma powstać projekt lub zleciennodawca zmienia warunki w trakcie realizacji tematu. Czy można w takim przypadku odmówić przedłużenia terminu złożenia pracy?

ODSTRASZANIE ZAMIAST ZACHĘT

Omówiłem tu szereg przyczyn niedoskonałości procesu dydaktycznego w szkołach wyższych, a przecież można byłoby dorzucić jeszcze niemal drugie tyle! Uczelnie bywają zbyt tolerancyjne, chociażby w sytuacjach, kiedy student nie mogąc uporać się w ciągu ośmiu lat ze studiami nadal korzysta z miejsca w akademiku. Istnieje też całkiem poważny problem fizycznej (a także umysłowej) słabości młodzieży, co sygnalizują nie tylko akademickie służby zdrowia. Nie ma zainteresowania tokiem studiów ze strony przyszłego pracodawcy. Student wie, że od jego ocen w indeksie i od tego, czy obroni pracę w terminie nie będzie zależał przyszły status i wysokość uposażenia. Zupelnie antywychowawczo, wręcz odstrasza, co działają niektóre praktyki zawodowe: studenci z przeróżnymi patrz na balagan organizacyjny w zakładach, archaizm technologiczny i brak zainteresowania innowacjami ze strony kierownictwa przedsiębiorstw poganianych planami i wymogami reformy. Dobre efekty dawała kiedyś instytucja stypendiów fundacyjnych ale dziś przemysł dusi złotówkę do złotówki. Coż... reforma.

W uczelniach wszyscy są zgodni, że sprawność przebiegu studiów wymaga zdecydowanego polepszenia. Jednak tam, gdzie programy są już napięte nie można tego robić za wszelką cenę. Najważniejsze jest, aby student opuszczający uczelnię był dobrym fachowcem — podkreśla z naciskiem prorektor Akademii Górniczo-Hutniczej doc. dr hab. JERZY NIEWODNICZANSKI. Przephychanie studenta na się z roku na rok, aby statystyka dobrze wyglądała, nie wydaje się najlepszą metodą, tym bardziej, że w Polsce nie ma głodu (poza takimi specjalnymi wyjątkami jak szkolnictwo wojskowe) specjalistów z akademickim cenzurem. Wystarczy poczytać ogłoszenia wielkich kombinatów przemysłowych i budowlanych. Gdyby gospodarka drastycznie odczuwała brak kadr z wyższym wykształceniem, przedsiębiorstwa stworzyłyby takie zachęty, że młodzież dążyłaby do dyplomu niezależnie od wymagań regulaminów studiów.

*

Jeśli poważnie chcemy dziś myśleć o podniesieniu dyscypliny procesu dydaktycznego w uczelniach, trzeba wypracować spójną koncepcję działań — uwzględniając zarówno ogólne uwarunkowania ekonomiczne jak i negatywne zjawiska w szkołach wyższych. Konieczne są decyzje w kwestii systemu plac i stworzenia na rynku pracy preferencji dla absolwentów legitymujących się lepszymi wynikami studiów. Konieczne też jest konsekwentne egzekwowanie przez szkoły regulaminowych obowiązków studentów oraz stworzenie warunków dopinających kadrę do efektywniejszej pracy z młodzieżą. Student musi odczuwać „tłoczącą” działalność uczelni i „ssanie” rynku pracy. Same apeły i zalecenia nie wystarczą.

LESŁAW PETERS

PÓŁOFICJALNIE PRZED PRZEŁOMEM...

POLITOLOG w Indiach

WALDEMAR BUIAK

Kalkuta przywitała nas upałem. Spodziewaliśmy się wysokiej temperatury, niemniej po dość chłodnej aurze w Moskwie, gdzie spędziłyśmy prawie dzień w oczekiwaniu na połączenie lotnicze, nieco zaskoczyło mnie, że karoeria stojącego na parkingu samochodu dotknięta ręką boleśnie parzy. Pierwsze, jeszcze z pokładu samolotu, to dość złudne wrażenie rozmachu. Z powietrza miasto wygląda imponująco: ogromne, aż gdzieś po horyzont sięgające skupiska potężnych gmachów. Na obrzeżach liczne, wydawało się o europejskim standardzie, osiedla mieszkaniowe. Nowoczesny, obszerny port lotniczy. Wszystko zdawało się zadawać kłam tradycyjnemu wyobrażeniu o Indiach, jakie obaj z Tadeuszem przywieźliśmy z sobą tutaj. Na lotnisku czekał już na nas Sumatra Bhattacharya, do niedawna student AGH w Krakowie, dziś wykładowca politologii w Rourkela, mieście położonym w Orissie, stanie sąsiadującym z Bengalem Zachodnim. Do niego właśnie wybraliśmy się w gości. Jedziemy do hotelu uniwersyteckiego w południowej dzielnicy Jadavpur. Centrum: po prawej stronie potężne bionia z perspektywą pięknie zamkniętą pomnikiem królowej Wiktorii. Po lewej ulica banków, hoteli, siedzib koncernów. Tłok pojazdów i tłum ludzi niefrasobliwie wylewający się na jezdnię z chodników tarasowanych przez ulicznych sprzedawców, robi wrażenie chaosu grożącego nieustannymi kolizjami. Po pewnym czasie dopiero orientujemy się w omdlejącym, nieco, niż w Polsce, ale rygorystycznym porządku panującym na jezdni. Nic dziwnego. Wypadek z ofiarami w ludzkiej kosztuje winnego konfiskatę pojazdu. Brudno. Niebýt wypadła piasek o brudzie komuś, kto przyjeżdża z Krakowa, jednakże Kalkuta jest nieporównanie brudniejsza. Wrażenie nieładu potęgają rozkopane wzdłuż całego miasta ulice. Buduje się metro, nadzieje na rozwiązanie poważnych problemów komunikacyjnych. Pył. Pieczę w oczach i drapie w gardle. Kalkuta jest ponoć drugim na świecie po Mexico City miastem z tak zanieczyszczonym środowiskiem naturalnym.

O zmierzchu z okien hotelu oglądamy panoramę miasta. W dole grupa młodych ludzi buduje ołtarz. Nazajutrz przypada święto bogini nauki, radości obchodzone, zwłaszcza przez młodzież szkolną. O święcie budzi więc nas rytmiczna perkusja; hymn na cześć bogini. Potem w mieście oglądamy jej liczne ukwiecone obrazy w zaimprowizowanych kapliczkach i na wielkich ołtarzach. Na razie dealektujemy się herbata. Znakomity obyczaj pozostawiony przez Anglików. Potem spacerem idziemy w kierunku pomnika królowej Wiktorii, imponującej budowlą w stylu klasycystycznym. Po odzyskaniu niepodległości nie zaburzone tego symbolu brytyjskiego panowania na skutek protestów intelektualistów, którzy nie bez sensu dowodzili, że angielska obecność w Indiach jest dokładnie taką samą częścią historii kraju, jak panowanie muzułmańskich Wielkich Mogołów, po których pamiętek się przecież nie niszczy.

Zwiedzamy miasteczko akademickie i uniwersytet Jadavpur w Kalkucie, szczegółowo informowani o życiu naukowym i politycznym uniwersytetu, bogatym, czego dowody oglądaliśmy w postaci hasel politycznych, wypisywanych gęsto na murach, głównie przez maoistów, niekiedyż leńz ruchliwych. Przyjmował nas profesor Asoko Kumar Gosh, dziekan wydziału metalurgii. Oproważdł po swoim gospodarstwie z dumą pokazując nowoczesnie wyposażone pracownie i laboratoria wydzielu, po czym przy herbatce i dobrych słodkich ciasteczkach rozpoczynamy rozmowę, która z inicjatywą gospodarza z miejsca zaczyna obracać się wokół spraw polskich. Profesora interesuje udział środowiska akademickiego w wydarzeniach postępowych w Polsce. Opowiadamy mu o akcjach protestacyjnych, strajkach, działalności NZS itd. Nie robi to na nim żadne-

go wrażenia. Kalkuta dzierży prym wśród miast indyjskich, jeśli chodzi o liczbę demonstracji, protestów, manifestacji etc. i chyba także, jeśli chodzi o aktywność rozlicznych grup politycznych w uniwersytecie. Faktycznie nie było dnia żebyśmy się nie natknęły na jakąś demonstrację, od wielkich, dobrze zorganizowanych i dyskretnie obserwowanych przez policję, po kilkusetosobowe, jak na przykład ta, dzień później widziana demonstracja zszedła czy siedmiu urzędników, którzy porzucili pracę, stanęli sobie u wejścia do własnego biura i coś tam monotonnie wykrzykiwali, wyrażając niezgodę z brakiem zainteresowania choćby policji. Nie zawsze zresztą rzeczy mają się idyllicznie. Podczas tłumienia rozruchów, które wybuchły po zabiciu człowieka przez samochód ciężarowy w dzielnicy robotniczej, zastrzelono kilkanaście osób. Były one organizowane i wykorzystywane przez opozycję tu — w Bengalu Zachodnim — Partię Kongresową, pod hasłem „przec z rządem, który nie potrafi rozwiązać problemów komunikacji”. To polityczne zabarwienie zaostriżyło reakcje obu stron. Mimo to, wnosząc o obserwacji, że tutejsza policja jest stanowcza, ale nie brutalna. Nawet jeśli przejawia agresywność, to kieruje ją bardziej na rzeczy niż ludzi. Pod dworcem kolejowym skądinąd wartym osobnego opisu, widzimy, jak policjant wściekły o coś tam na taksówkarza, tęgim kijem, który tu noszą zamiast palek gumowych, wali, no właśnie, w taksówkę, a nie w stojącego obok taksówkarza. Dokładnie odwrotnie niż to wielokrotnie w różnych krajach widziałem.

Dowiedujemy się, że chciałoby z nami rozmawiać członek Biura Politycznego KC Komunistycznej Partii Indii i sekretarz generalny Komitetu Stanowego KPI Biswanath Mukerjee, studenci — komuniści uniwersytetu chcieliby zorganizować coś w rodzaju wiecu etc., etc. Odkładamy wszystko na potem, na razie jedziemy nad ocean do Puri, trochę dla odpoczynku, ale także aby zobaczyć sławne świątynie w Puri, Konarak i Bubanczwarze.

*

I znów Kalkuta. Towarzyszący nam profesor Nipven zwraca uwagę na liczne hydranty uliczne, wcale nie białe dowód trojski komunistycznego rządu o wodę dla najbardziej potrzebujących oraz na publiczne toalety, do wód troski o higienę, trochę niestety nieskuteczny, bowiem mieszkańcy wolą w wiadomych celach wykorzystywać tradycyjnie załomki murów, skąd bije smród nie do zniesienia. Przejedźdźmy dzielnicę robotniczą. Widok jak z filmu Wajdy „Ziemia obiecana”. Dalej wspaniały nowoczesny stadion. Jakis czas temu polska drużyna piłkarska w dobrym stylu zdobyła na nim nagrodę im. Nehru. Do dziś o tym tu pamiętają.

Jedną z bardziej egzotycznych osobliwości Kalkuty jest nie mniej ni więcej tylko kolonia szczerów, żyjących od niepamiętnych czasów swobodnie na zajętych przez siebie terenie w kacie bloku w samym centrum miasta. Są trochę inne niż w Polsce. Przypominają raczej nasze myszy, tyle że przerosnięte. W każdym razie nie wzbudzają obrzydzenia. Wychylają się z nor, oswojone z widokiem ludzi i wielokojemskim hałasem, bez obaw porwują rzucone im resztki jedzenia i znikają w labiryncie, w którym żyją. Ponoć, jak twierdzi Sumatra, są ulubieńcami urzędników publicznych urzędów stanowych i to do tego stopnia, że kiedy jakiś czas temu postępowy rząd komunistyczny postanowił, w ramach walki z zacięciem obyczajowym, kolonię szczerów zniszczyć, związek zawodowy zagroził strajkiem, który, gdyby się odbył, sparaliżowałby funkcjonowanie całej administracji stanowej. I co? — dopytuję się zaintrygowany — no i nie. Jak widzisz, szczerzy cieszą się dobrym zdrowiem, a urzędnikom nie zafundowano nawet dyskusji prasowej na temat wad narodowych — od-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

DYSCYPLINA na urlopie dziekańskim



Fot. W. Klag

dów ekonomicznych. Wzmoczone rygory podległyby za sobą wzrost skreśleń z listy studentów, w tym też słuchaczy wyższych lat, w których kształcenie zainwestowano już spore środki. Straty wynikłe z tego powodu byłyby większe niż koszt pobytu studenta na uczelni jeszcze dodatkowy rok. Poza tym powstaje jeszcze jedna wątpliwość: czy podnoszenie poprzeczki wymagań formalnych jest właściwą metodą kształtowania poziomu szkoły wyższej, czy nie stanie się ono swoistym handicapem dla „kujo-

nów”?

Nierazkim wybiegiem, mającym na celu „przedłużenie młodości” jest rozpoczęcie studiów na dodatkowym kierunku. W ten sposób student zyskuje odroczenie pójścia do pracy nawet na 2-3 lata. Czy zatem należałoby zniesić taką możliwość? Znowu trudno o prostą odpowiedź, bo gospodarce coraz częściej potrzebni są fachowcy o wielokierunkowych kwalifikacjach. Od inżynierów, ekonomistów, a nawet lekarzy zaczyna się wymagać umiejętności obsługi komputerów, od informatyków — znajomości zasad ekonomii, zarządzania i innych rzeczy. Dodatkowe dwa lata pobytu na uczelni mogą więc zaowocować uzyskaniem rangi poszukiwanego specjalisty.

lożono prowadzenie, obok dydaktyki, badań naukowych i współpracy z gospodarką. Idea jak najbardziej słuszna: uczelnia, szczególnie techniczna, bez własnych prac badawczych i bez realizowania tematów „z życia” prędzej czy później stałaby się tworem podobnym do uniwersytetów średniowiecznych. Poza tym pamiętajmy, że szkoły wyższe skupiają 73 proc. profesorów i docentów, którzy nie mogą ograniczać się do samej dydaktyki. Jednakże w obecnym układzie zesła ona na plan dalszy. Uznanie w środowisku przynajmniej wyniki prac naukowych, współpraca z jednostkami gospodarki narodowej przynosi korzyści materialne; dbałość o wysoki poziom wykładów lub ćwiczeń nie daje ani jednego ani drugiego, pozostaje jedynie w sferze ambicji osobistych. Zaginęły tradycje szkół naukowych twórczych wokół mistrzów. Student stał się niemal zlem koniecznym, które pochłania tylko czas potrzebny na realizację własnej kariery naukowej czy intratnego zlecenia z przemysłu. Twierdzenie, że taki sposób myślenia stał się powszechny, byłoby wielką krzywdą dla wielu nauczycieli akademickich, ale faktem jest, że studenci odbywają nieraz długie pielgrzymki poszukując swoich opiekunów i promotorów. Może należałoby więc do pracy w grupach semina-

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 3)

główna, a Hercena przeniesiono karnie do Nowogrodu.

Ten pozornie biały incydent nadwerżył dopiero co nawiązane przez Hercenę i jego żonę kontakty z petersburską społecznością intelektualną, ledwo co rozwiniętą działalnością literacką. Z Nowogrodu — po kilkakrotnych prośbach, dzięki wstawianictwu u cara — Hercenowi pozwolono przenieść się do Moskwy, gdzie oddano go pod nadzór policji. Jego nastrój z tych lat sumuje taki oto zapis z dziennika, obrany przez Siliwowskich jako motto części pierwszej biografii: Czyżbym miał uważać moje życie za skończone, ukrywać, co mnie niepokoi i interesuje, całą moją gotowość do pracy, całą potrzebę wypowiadania się, i przywalić to wszystkim ciężkim kamieniem, aż się przyzwyczaję do milczenia? (...) Nie mogę żyć długo w tej sytuacji, duszę się, ach, żeby się tylko wydostać!

Jeszcze zanim wyostał się z matni carskiej, zaczęły go ścigać oszczerstwa, insynuacje, plotki. Pierwsza powieść Herceny „Czyja wina?” (1846—1847) — niedwuznaczne oskarżenie całego systemu nikolaewskiego — rozprętała nagonkę publiczną. Oficjalna prasa zaatakowała pisarza za oczernianie społeczeństwa rosyjskiego, oskarżono go też o zaścianicę języka narodowego, o używanie wyrazów cudzoziemskich. Później zaś carscy donosiciele i cenzorzy stwierdzali o powieści Herceny: *dyktowany general rosyjski został tu przedstawiony jako skończona bydlę, oskurant i rozpustnik (...)* szlachę przedstawiono jako niegodziwców i bydlęta, natomiast nauczyciel, syn lekarza, i nieślubna córka owego generała i dziewczę pańszczyźnianej występują jako uosobieństwo szlachetności.

Udał się przez całe życie — w kraju i na granicę — Hercenowi towarzyszyło szczeni carskich służbów. Gdy domagał się wolności dla chłopów i swobód demokratycznych, kiedy stał w obronie sprawy polskiej, natychmiast

narastała fala jawnych i szeptanych oskarżeń, że nie jest Rosjaninem (przypominano, że matka jego pochodziła z Niemiec), że to obcy, że nosi obco brzmiące nazwisko (był synem nielubianym ziemianina i oficera Iwana Jakowlewa, który wyniszczył mu nazwisko), że jest rusofobem, notorycznym pijakiem i człowiekiem do cna zepsutym. Nawet jego rysopis przekazywany „w momencie zerwania” — w roku 1850 — polleli francuskiej był zabawiony tymi sentymentami: *Sredniego wzrostu, zbliża się do czterdziestki, szatyn, twarz czerwona, sposób zachowania — niepewny, spojrzenie umykające, nosi brodę, włosy długie, przylizane.*

PEAN dla EMIGRANTA

Czy wszyscy ci jawni wrogowie i pseudo-przyjaciele: unędnicy, dziennikarze, profesorowie, wierzyli w kalmunie, które puszczały w obieg? Nie brakowało wśród nich zacietrzewionych fanatyków, ale większość stanowiły po prostu ludnie maluczy. Na fali odlewu krymskiej — w lipcu 1862 roku — w stołecznym piśmie „Razwleczenie” ukazał się wymowny rysunek satyryczny. Z ręką na sercu, pochylając głowę dryblas-inteligent rosyjski mówi do przysadziatego, niedużego człowieka: Hercena! Niech się pan nie gniewa, Aleksandrze Iwanowiczu, doprawdy żyję dla pana głęboki szacunek i uważam za uczciwego człowieka, a że występuje przeciwko panu, no cóż — to sprawa czystej koniunktury i sam pan wie, bliższa konsultacji niż sukmana.

W sześć miesięcy później polski styczeń zmroził krymską odwilż, imię Herceny zostało potę-

plone i zakazane w Imperium. Wydawca „Kołokola” z Londynu podniósł swój potężny głos w obronie sojuszników — powstańców 1863 roku. Pożyczył niemal samemu pod prąd. Niemal pisanu u nas o działalności polonofilskiej Herceny, ale dopiero czytając książkę Siliwowskich uświadamiamy sobie plastycznie nie tylko wykroty, jakie starali się pokonać organizatorzy sojuszu „Ziemi i Woli” z Polakami, ale również i to, że Polacy byli przez cały okres emigracyjny dwudziestolecia Hercena wśród jego najbliższych przyjaciół, domowników, nauczycieli dzieci, drukarzy i kolporterów „Kołokola”. To oni — bardziej wprawieni od niecz-

z książki Siliwowskich czytelnik zrozumie, ile miejsca w domu Herceny zajmowali jego polscy przyjaciele: Ludwik Czerniecki i Stanisław Tchórzewski, do którego Hercenę zaadresował ostatni telegram, jaki kazał nadać w przededniu śmierci. Obaj Polacy — do końca swoich dni ludzie lewicy — zmarli na wygnaniu. W społeczeństwie polskim przez długie lata niewiele mówiono i pisano o Hercenie. Inaczej było w Rosji.

Imię Herceny odżyło w pokoleniu „Narodnej Woli” i socjaldemokratów rosyjskich. Klejdo setki emigrantów — rewolucjonistów zapelniały po śladach Herceny i Bakunina Europę, właśnie z wygnania, w maju 1912 roku, pisał Włodzimierz Lenin: *Hercen stworzył wolną prasę rosyjską za granicą — jest to jego wielka zasługa (...)* Kiedy cała sfera liberałów rosyjskich odsunęła się od Herceny za jego obronę Polski (...) Hercen nie upadł na duchu. Bronił w dalszym ciągu wolności Polski i chłostał miłośników, śpiących, oprawców Aleksandra II. Hercen uratował honor demokracji rosyjskiej.

Mają rację Siliwowscy, zaczynając swoje dzieło od słów: *Trudno uprzedzić, że niniejsza książka jest pierwszą w języku polskim biografią Aleksandra Herceny.* Książka Siliwowskich spłaca nam wielki dług wdzięczności wobec pamięci Herceny. Z jej kart Hercen wychyla się ku nam żywy; pełen ludzkich sprzeczności i rozdarcia. Demokracja nieraz budzący się, iż despotą Aleksandra II można zaagiutować i przekomarować reform, rewolucjonista głęboko

wzdragał się przed wszelkim przelewem krwi, a zmuszany przez życie do popierania najbardziej krwawych walk zbrojnych, przeciwnik teroru indywidualnego (atakowany za to przez nihilistów rosyjskich), który do swolnych najsurowszych krytyków — przynierających głodem wychodźców — wyciąga pomocną dłoń człowiekowi samotnemu.

Hercen istotnie jawi się żywy: w swolnych nader powikłanych układach rodzinno-milosnych, w bioku małego, duszącego się we własnym sosie getta emigracyjnego, pełnego i wielkich zwolotów, i najbardziej przyziemnej małostkowości, w stałych zmaganiach z wszystkowiedzącym okiem i wszystkoczystym uchem zandar-mów i policjantów, w ubolewaniu nad nieudolnością i idealizmem rewolucjonistów, gdy będzie pisał do Józefa Cwierczakiewicza: *Czy wie Pan, czemu zawsze trzymuje reakcja? Bo we wszystkich okolicznościach działa na pewniaka, podczas gdy my działamy na los szczęścia.*

Co zostało się z Herceny? Żyje jest jego piarstwo, jego postawa moralna. Wielecnie żywy wzorec nonkonformizmu. Można natomiast spierać się o nosność jego idei politycznych: był bez porównania bardziej związany ze swolnym wielkim dziełem niż z kamieniami w nim niż jego przyjaciel Michał Bakunin. Hercen zresztą sam dostrzegał elementy utopizmu w swojej postawie, ale uważał, że wskazuje drogę następnym pokoleniom. Był świadom, że Rosję zmieniają ludzie, którzy tam mieszkają, lecz głośno wezwanie do walki w połowie XIX wieku mógł rzucić tylko on: emigrant polityczny.

(1974)

JERZY W. BOREJSZA

Wszystkie cytaty pochodzą z książki Włodzimierza i Reni Siliwowskich, *Aleksander Hercen*, Warszawa 1973.

„Tak jak większość ludzi nie wierzę oczywiście w diabła. Lubiałem jednak zawsze jego aurę folkloru i cudowności, jego zmienienie wcielenia i postacie, które przybierały zależnie od zadania powierzono mu do spełnienia” — pisała Janina Kościółkowska w opowiadaniu pt. „Pan Unde”.

Informacja, że opowiadanie to ukazało się na łamach ortodoksyjnego „Tygodnika Powszechnego”¹⁾, mogłaby przerazić niektórych Czytelników. Spieszymy więc z wyjaśnieniem, że opowiadanie kończy się „happy endem”. Jego bohaterka nie tylko spotyka autentycznego diabła, ale przy okazji stwierdza też, że nieścisłość posławiła bardzo, co — jak się dowiadujemy — jest następstwem niepowodzeń spotykających jego misję w Polsce.

Nie wiemy, czy diabeł posławił dowiadawczy się o kilku spektakularnych nawróceniach bywalszych akuszy, przysięgniętych miłosierdziu przez „Tygodnik”. Wiemy natomiast, co potwierdzają niedługoż sondaże przeprowadzone po obu stronach Atlantyku, że przynajmniej jedno zdanie p. Kościółkowskiej nie jest fantazją: rzeczywistość, większość ludzi nie wierzy w diabła.

HISTORIA DOGMATU (4)

Wybaw nas od Złego

Fakt ów można by jeszcze przeboleć, gdyby nie to, że niewiarę szarych wierzących podziela wielu ludzi bibliści, teolodzy i egzegety, a więc ludzie z urzędu i stanowiska uprawnieni do interpretowania Pisma św. Potwierdza to artykuł W. Szymony zamieszczony w miesięczniku o. o. dominikanów „W drodze”²⁾, a zatytułowany „Wiara w szatana w XX wieku”.

„Z wielu stron...” pojawiają się pytania, czy nie należałoby poddać rewizji tego punktu doktryny Kościoła, zaczynając od Pisma św. Są jacy, którzy uważają, że święte Księgi nie dają żadnych podstaw do opowiadania się za istnieniem czy nieistnieniem demonów, a jeszcze więcej jest takich, którzy uprzedzają, że opowiadanie się za istnieniem. Liczne wypowiedzi Jezusa dotyczące szatana należy według nich złożyć na karb ówczesnej religijnej literatury żydowskiej czy wczesnochrześcijańskiej, w każdym razie nie można ich przypisywać samemu Chrystusowi... Jedni i drudzy twierdzą zresztą, że nazwy szatana i diabła są tylko mistycznymi personifikacjami, których sens sprowadza się do dramatycznej pańownania zła.”

Ta właśnie sytuacja skłoniła zapewne Pawła VI do wygłoszenia w listopadzie 1973 r. przemówienia, w którym stwierdził, że szatan jest postacią realną, oraz że „cały świat leży w mocy Złego”³⁾.

„Jakże są obecne największe potrzeby Kościoła? Niech was nie zdziwi nasza odpowiedź: jakoby prosta czy zabobonna i nierzeczna: jedna z wielkich potrzeb jest obrona przed tym złem, które nazywa się szatan” — stwierdził papież.

Świat XX wieku, który poznał genialne Oświecenie i ogniste plekto Hiroszimy oraz na własne oczy widział szatanów ubranych w mundury SS i wermachtu; świat, który z codziennych komunikatów telewizyjnych i radiowych dowiadywał się o wojnach, rzekach, o nędzy, upodleniu i głodzie, ten świat przyjął przemówienie Pawła VI z zdziwieniem i zaskoczeniem. Miliony ludzi przyjełyby z powagą namienne wołanie papieża: „Czy nie obchodzi nas ból i śmierć, podłość i okrucieństwo i grzech? Jednym słowem zło?” Z powagą tym większą, że pytanie o źródło zła i cierpienia jest dziś, podobnie jak przed tysiącami lat, problemem zaprzęganym umysłowi nie tylko filozofów, ale i niezliczonych resz przyrody, którzy mogliby powtórzyć za św. Augustynem: „Dociekałem, skąd może pochodzić zło, ale nie znalazłem wytłumaczenia”.

Równocześnie jednak ci sami ludzie z rozczarowaniem przyjęli słowa, że „grzech...” który jest przyczyną śmierci... grzech, który jest też okazją do działania w nas i w naszym świecie siły ciemnej i urogoj — szatana, Zła... istnieje w postaci żywej istoty duchowej, istoty przewrotnej, która skłania nas do przewrotności. Jest to rzeczywistość straszna, tajemnicza i budząca grozę. Wychodzi więc poza ramy nauki biblijnej i kościelnej każdy, kto odrzuca istnienie szatana... bądź, kto głosi, że szatan jest tylko mitem, wymysłem i fantastycznym personifikacją nieznanego przyczyn naszej nieszczęść.”

Należy się zgodzić z opinią Pawła VI, że problem pochodzenia zła „jest największą trudnością w religijnym pojmowaniu świata”. Ale trzeba dodać zarazem, że żadne spekulacje teologiczne nie potrafiły rozwiązać tego odwiecznego problemu. Natomiast chrześcijańska koncepcja szatana, ukształtowana przez Ojców Kościoła, doprowadziła do masowych, okrutnych mordów, których ofiarą padło ok. miliona, spalonych żywcem kobiet, oskarżonych o powiązanie z diabłem, o „czary”.

Zdumienie wywołane przemówieniem Pawła VI było tym większe, że to on właśnie, kilka lat wcześniej, w swej głośnej encyklice „Populorum progressio” wskazał na autentyczne, społeczne źródła wielu cierpień, krzywd, niesprawiedliwości, okrucieństwa i nędzy. Tymczasem przemówienie z 1972 r. nawiązywało do tradycyjnych, wydawać by się mogło, dostatecznie

już skompromitowanych, hipotez usiłujących wyjaśnić istnienie zła działalnością szatana.

Omawiając przemówienie Pawła VI, którego myśl w trzy lata później rozwinął dokument watykańskiej Kongregacji Doktryny Wiary pn. „Wiara chrześcijańska a demonologia”, nie można pominąć występujących w obu dokumentach sprzeczności.

Tak np. papież, stwierdzając, iż szatan, „to urogi skryty, który sieje błędy i przynosi nieszczęście przez całe dzieje ludzkości”, to „chcący pochwleba, który potrafi ucinąć się do nas przez zmysły, wyobrazę, przez pożądlwość” — powołuje się wielokrotnie na tradycyjną naukę Kościoła. Na Księgę Rodzaju opowiadającą o kuszeniu Ewy przez węży, na apokryf żydowski mówiący o upadku zbuntowanych aniołów, na opinie teologów wczesnochrześcijańskich, dochodzą do wniosku, że chrześcijanie muszą toczyć walkę „nie z jednym szatanem, ale z całym strasznyim ich mnóstwem”, którym kieruje „jeden główny”. Równocześnie składa zaskakujące, w kontekście tradycyjnej literatury, oświadczenie:

„Szatan i jego wpływy, jaki wywierają może na poszczególne jednostki zarówno jak i na zbiorowości, na całe społeczeństwa — to mogą być jeden z ważniejszych rozdziałów nauki katolickiej, który należałoby na nowo studiować...”. Niestety, dodaje, „nasza nauka może być niepełna i ciemna, jakby miała coś z ciemności otaczających szatana”.

Podobnie ulmuje rzecz dokument Kongregacji Doktryny Wiary:

„Wiara poucza⁴⁾ nas istotnie, że rzeczywistość Zła jest bytem żywym, duchowym, przewrotnym i zepsutym... Trzeba jednak przyznać, że rzeczywistość szatana i jego działania, namacalna w tym, co znujemy tajemnicą Zła, pozostaje nie wyjaśnioną do końca zagadką spowijającą życie chrześcijan. Nie wiemy lepiej niż Apostołowie, dlaczego Bóg je dopuszcza⁵⁾ i w jaki sposób podporządkowuje swoim planom”. — Komentując dokument „Wiara chrześcijańska a demonologia”, autor artykułu „Wiara w szatana w XX wieku” dodaje:

„Nie ma najmniejszej wątpliwości, że istnienie szatana jest jedną z prawd chrześcijańskiego Credo, stwierdzają to dokumenty poprzez całą historię Kościoła. Natomiast liczba, rodzaj ich winy i zasięg władzy nigdy nie były przedmiotem orzeczenia dogmatycznego”.

Jest to dla wierzących pośrednia wskazówka, że mogą odłożyć do lamusa całą wczesniejszą przebogłą literaturę demonologiczną oraz zdezawować encyklikę poprzednich papieży poświęcone różnorodnym formom działalności demonów. Czy jednak istotę zagadnienia da się sprowadzić do określonej interpretacji fragmentu Modlitwy Pańskiej „nie pozwól nam, że zamyślisz prosić „i wybaw nas od Złego”, trzeba będzie mówić: „i wybaw nas od Złego”? Czy nie ma źródeł, które by pomogły wiernym zgłębić tajemnicę działania szatana? Zamiast odpowiedzi, wróćmy jeszcze na chwilę do przemówienia papieża. Sugeruje on mianowicie, że tajemnicę tę pomaga rozjaśnić „współczesna literatura: „Jest też diagnoza o wiele bardziej rozbudowana, której nie ośmielamy się teraz rozwijać, diagnoza nie pozbawiona dla wszystkich swego dramatycznego znaczenia, której literatura współczesna poświęca też swoje głębokie stronic”. Papież wymienia tu przede wszystkim utwory francuskiego pisarza G. Bernanos (1888—1948), spośród których największy rozgłos zyskała powieść „Pod słońcem szatana”.

Brak gruntownej wiedzy teologicznej nie pozwala niżej podpisanemu na wydawanie opinii, w jakiej mierze satanizm Bernanos jest bardziej twórczy niż powiedzmy, satanizm innych pisarzy, czy będzie to Mann, Green, Huxley, Mauriac, France, czy — powiedzmy — Tadeusz Miciński. W każdym razie nie można wykluczyć, że rozprawy na temat ich dzieł będą pisać nie tylko literaturoznawcy, ale i teolodzy...⁶⁾

I na tym można by w zasadzie zakończyć temat, gdyby nie dwa zdania zawarte we wspomnianym miesięczniku „W drodze”. Pierwsze, to — raząco niezgodne z historią oświeceniową Kongregacji Doktryny Wiary, jakoby „doktryna chrześcijańska... potępiała zawsze pochopne do patrywanie się na każdym kroku ingerencji szatana, odrzucała zabobon, magię” (vide: procesy czarownic).

Drugie zdanie, zaczerpnięte z artykułu „Wiara w szatana w XX wieku” budzi mimowolny lek. Autor publikacji stwierdza, iż w przeciwieństwie do dawnych czasów, „absolutyzm i kult szatana nie należą do znaków obecnego czasu”, stawia nie pozbawione określonej sugestii, pytanie: „Nietawno jest rozstrząsać, co jest gorzej, obsesyjny... lek przed szatanem, czy rozmyślane chrześcijaństwo tendencje usuwania z niego elementów trudnych do przyjęcia.” Fakt, że takie pytanie postawiono zostało w miesięczniku wydawanym przez zakon, który kiedyś był spiritus movens inkwizycji daje wiele do myślenia...

WIESŁAW MERCIK

¹⁾ Z dnia 18. 11. 1984 r., ²⁾ Nr 3 z 1978 r., ³⁾ Jest to cytata z ewangelii Jana. ⁴⁾ Rozumowo, nie da się udowodnić istnienia szatana — stwierdza ks. W. Granat w zarysie dogmatyki katolickiej „Ku Oczwieskowemu i Bogu w Chrystusie”. ⁵⁾ Porównaj: „I nie wód nas na pokuszenie”.

— Ja zawsze byłem pyskаты i hardy...

Oczy starego człowieka patrzą na mnie uważnie a potem uciekają gdzieś w przeszłość, w zimny jesieniany poranek, pomiędzy szeregi ludzi w pasiakach. Za drutami...

— Mielisz kapa. To był taki, jak się to wtedy mówiło, skurwysyn... pan wie? Rozumie pan co mówię, bo ja mówię teraz słabo po polsku. Przecież nie byłem tu już tyle lat. — On się na mnie uważał ten kapa i stale mnie gnębił. Bardzo mi pomagał taki jeden wiezień z Chorzowa. On był wielki chłop. Pamiętam, że trzymał mnie, żebym nie upadł na apelu. I mówił kiedyś do mnie ten Ignac: Słuchaj Zydku, ty musisz się trzymać bo wezmą cie go gazu. I ja się wtedy rzuciłem na niego z pięściami — Co ty, mów mi, dlaczego ty cholero podskakujesz?

Ja jestem Żyd, mówię — nie Żydek. A ty Jesteś Polak, a nie Polaczek. I, pan wie, myśmy zostali wtedy wielkimi przyjaciółmi. Mnie Ignac pomógł przeżyć. Ja... bardzo pana przeproszam, ale czy pan mógłby może zadzwonić do Chorzowa i prosić dla mnie tego Ignaca. Ja miałem numer 104346 i byłem w Auschwitz od lutego 1943 do wyzwolenia... A on miał chyba numer 104325, a może trochę inny... Pan był zmiażdżony w Oświęcimiu? Pan mnie dzwonił, bo tam byli moi koledzy. Jak ja bym się chciał z nimi spotkać... Ławski? Pan mówi Ławski. Taki niewysoki? Taki szcuplej i zadziorny, prawda? Pamiętam... Ja się nazywam Adam Kowalski. Pochodzę z Poznańskiego. Mieszkam teraz w Izraelu. Pan będzie jutro z nami?

Grupka ludzi wysiada z autokarów z napisem „Orbis”. Okutani w płaszcze, których polny porządek zimne podmuchy, w kurki, w szalki. Wielkie żółte gwiazdy Dawida z wyraźnym napisem: „Jude”. Pod bramą obozową układa się pochód. Elektryczne światła pała się jasno. Te prawdziwe, nawet pod szklanymi kłozami gasną. W te ruiny krematoriów i perspektywa ginącej w oddali obozowej, prostej drogi. Rozpina się transparent. „My oskarżamy”. Rusza spod bramy obozowej pochód ludzi. Żydzi — wieczni tułacz. Idą ławą, jak na tym zdjęciu z likwidacji warszawskiego getta. Trzymają się pod ręce. Idą... Spiewają... Placzą... Idą...

Marzę śmierci... Taką wymyślił nazwę dla tego pochodu.

Idą... Ich były młarowe ciapią w wodzie, śniegu, sukajką o asfalt. Idą... Naprzód. Do Auschwitz.

Spiewają... Jakiś głos zawodzi przejmującą żydowską pieśń sławiącą życie. Napisała ją Hana Senesz. Była węgierską Żydówką. Skazana za działalność w partyzancie została rozstrzelana przez Niemców. Przed śmiercią pisała wiersze. Spiewają... Placzą... Łzy pozwalają zapomnieć. Łzy gorzkie, cierpienia, przerażenia wyraźne pamięci koszmara, który tu był niedawno. Za ich życia. Z

ich udziałem. Placzą... Placzą ich kilkunastoletnie dzieci. Dlaczego?

Przed nimi kłebi się tłum fotoreporterów, kamerzystów, ludzi z mikrofonami i reflektorami. To wszystko musi być zarejestrowane wyraźnie. Trzeba pokazać i żyć, i świecie. I maszerujące w śnieżnej brzozi. Niję kamerzysta na buty! Na asfalt! Szyby! Do tytułu! Ujęcie na wierzchołku niewielkiego wznesienia.

DZIECI doktora Mengele



NBC, BBC, ABC, ZDF, UPI, AP, Reuter, telewizja holenderska, niemiecka, francuska... Krytyki, przepychania, okazja do jak najlepszego ujęcia. Kamera bezczelnie obmacuje ludzkie twarze. Dotyka też, włosów, rąk trzymających się ścieśnionych.

A oni idą. Żydzi — wieczni tułacz. Dzieci doktora Mengele. Idą do Auschwitz.

— My wszyscy jesteśmy z Auschwitz — mówią. — My, Żydzi, dzielimy się dziś na tych, którzy przetrzeli to piekło i piekło okupacji i na tych, którzy już nie ma między żywymy.

Profesor Szewach Weiss jest wykładowcą nauk politycznych i prawa konstytucyjnego na uniwersytecie w Hajfie i członkiem Knesetu z ramienia Partii Pracy.

— Nie przeżyłem koszmara Oświęcimia. Jako kilkunastoletnie dziecko ukry-

wałem się z rodzicami przez całą okupację. Mieszkaliśmy w Borysławiu. Ukrywaliśmy nas koleżanki szkolne mamy: Polka i Ukrainka. Ja przejechałem tutaj do Oświęcimia, by na największym żydowskim cmentarzu, cmentarzu 2,5 miliona osób narodowości żydowskiej, których prochy z pruska dokładnością zmieszane zostały z oświęcimską ziemią oddać hołd pomordowanym i apelować o pokój. Koncentracjonistę Auschwitu z symboli modernego, nowoczesnego fałszywego, niemieckiego kanibalu.

Dr Stanisław Kłodziński, były więzień Oświęcimia nr obozowy 20 019 w „Zeszytach Oświęcimskim” („Przegląd Lekarski”) w roku 1963 pisał:

„Co do Żydów wypowiedział się Frank w dniu 16 grudnia 1941 roku następująco: „Żydów musimy gnać, gdzie tylko ich napotkamy i nieść tylko będzie możliwe, żeby zabezpieczyć budowę Rzeszy jako całości”.

Prześledzając Żydów w Generalnej Guberni rozpoczęło natychmiast po wkroczeniu do Polski. Na tym terenie znajdowało się 2,5—3 miliona Żydów. Przymusowo ograbiono ich w getcie, pozbawiono wszelkich praw, pozbawiono żywności, skazując na głód, a w końcu systematycznie i brutalnie wymordowano. W dniu 1 stycznia 1944 roku, wg obliczeń Franka, jeszcze tylko 100 000 Żydów pozostało przy życiu w Generalnej Guberni”.

A hitlerowski lekarz? Przysięga Hipokratesa! We wrześniu 1939 roku dr Streicher napisał: „Żyd jest bakteryą i dżumą, nie jest ludzkim stworzeniem, lecz jest wrogiem, złością, roznosicielem chorób, którego w interesie ludzkości należy zniszczyć”.

Kimże był doktor Mengele? A dzieci doktora Mengele idą do Auschwitz.

Joseph Mengele — lekarz SS w KL Auschwitz prowadził pseudolekarskie i pseudomedyczne eksperymenty z zakresu genetyki i antropologii na dzieciach bliźniakach. W Oświęcimiu było wyselekcjonowanych około 1,5 tysiąca dzieci bliźniaków. Ocalało 180. Dr Mengele — „Anioł śmierci”.

Co wiadomo o losie Josepha Mengele? Czy znane jest miejsce jego pobytu? Skąd przekonanie, że zbrodniarz ten jeszcze żyje? — zapytał w trakcie konferencji prasowej zorganizowanej w siedzibie „Interpresu” w Warszawie korespondent prasy zachodniemieckiej.

Miriam Zeicher jest jednym z bliźniaków oświęcimskich. Jej siostra Eve mieszka obecnie w Stanach Zjednoczonych. We wrześniu ubiegłego roku otrzymała list od bratanka Josepha Mengele, „Macie naj-

lepsze pozdrowienia od naszego wujka J. Mengele — napisał. — Czego on nie skończył, ja dokonczę”.

Idę z „marszem śmierci”. Ramię w ramieniu z Stefanem Grajkim — prezesem Światowej Federacji Byłych Bojowników Żydowskich, Partyzantów i Więźniów Obozów Koncentracyjnych, przewodniczącym Światowej Federacji Żydów Polskich.

— Żadna z poszukiwaczy J. Mengele instytucji i organizacji nie otrzymała wiarygodnego dowodu jego śmierci. Mamy wypowiedź świadków — powiedział S. Grajek — że żyje on w Paragwaju.

W chwili, kiedy pisałem te słowa, Polskie Radio, powołując się na doniesienia z Waszyngtonu podało, że Joseph Mengele żyje na terenie osiedla niemieckiego nad rzeką Paragwaj w Argentynie.

A dzieci Josepha Mengele idą do Auschwitz. Nie ma wśród nich Adama Kowalskiego. Dlaczego? — pytam.

— On błąkał się dzisiaj cały dzień po obozie oświęcimskim. Rozmawiał sam z sobą. Płakał. A potem pojechał do Chorzowa szukać kogoś... Vera Kriegl ma twarz poranną zmarszczkami, ale jej oczy przypominają jego przerażonego dziecka. Kontrast, który bardziej boli niż szokuje.

— Byliśmy królikami doświadczalnymi Josepha Mengele. Utworzyliśmy organizację, której angielska nazwa „Świecie” powstała od pierwszych liter słów: Dzieci, które przeżyły śmiertelne eksperymenty nazistów w Oświęcimiu.

— Nasze straszne doświadczenia są przestrzą dla świata — mówi Vera Kriegl i żadne słowa w jej ustach nie wydają się zbyt wielkie.

— Organizacja bliźniaków — mówi powstała po to, aby pamiętać tamtych lat była ciagle żywa. Naszym mottem jest wezwanie do ludzi: Pamiętajcie o przeszłości dla budowania lepszej przyszłości.

— Czy ja mogę coś jeszcze powiedzieć? — pyta.

— Tak — kiwam głową.

— Ja choć zaapelowałem do wszystkich ludzi na Ziemi. Pomóżcie nam odnaleźć Josepha Mengele. Nie zapomnimy nigdy o jego zbrodniach, tak jak nigdy nie przestaniemy go szukać.

Przez zacinający deszczem wiatr, w szarym zimowego mglistego wieczoru dzieci doktora Mengele idą do Auschwitz.

— Jeszcze nigdy nie miałem takiej grupy — mówi pilot „Orbisu” Krzysztof Juriewicz. — Oni przyjechali tu ze swoimi dziećmi. Jedźmy codziennie do Oświęcimia. Chodzimy po barakach, blokach. Spędzamy całe dni w archiwum. To ich dzieci też chodzą, patrzą, słuchają...

— A pan Kowalski?

— Dzwonił z Chorzowa, że pojeżdżę do Wrocławia szukać jakiegoś Ignaca...

ZBIGNIEW KRZYSZTYNIAK

ZWIERZENIA ESTETYCZNE

Krytycy lubią Sterna i jego sztukę, lecz bez wzajemności. Bo Stern nie lubi krytyków, czemu daje wyraz przez każdej okazji. Ot, choćby ostatnio, w wywiadzie, udzielonym podczas otwarcia swej jubileuszowej wystawy w Pałacu Sztuki, gdzie, na pytanie p. Ziemiańskiego z „Echa Krakowa” — „Któryś z krytyków pisząc o Pańskiej sztuce stwierdził, że cechuje ją niepokój, rozbudowana sfera znaczeniowa obrazu i przekorna skłonność do groteski. Pisze też o Panu jako abstrakcjonście z elementami surrealizmu”. Stern odpowiedział: „Krytycy utawiają sobie życie. Każdego podciągają pod jakiś kierunek, a przecież każdy malarz jest kierunkiem samym dla siebie, bo wyraża siebie. Kierunki i prądy to niebezpieczna gra krytyków, to oni je wymyślają, zamiast analizować osobowość artysty...”

Ha, co robisz. Jedyną polecałą w wystawieniu mojej profesji i nieznanego mi klasyfikatora Sterna jest to, że — sądząc z jego licznych prywatnych i publicznych wystąpień — nie lubi on nikogo i niczego z wyjątkiem ryby, zaś tak generalna negacja jest zawsze nieco podjęzyczna. No i to, że historia sztuki przeczy jego tezie o utawianiu — poprzez wymyślenie kierunków — żywocie krytyków, przy czym, by Państwa nie zanudzić — wymienię tylko prąd, do których Dostojnego Jubilata przypisano. Termin „sztuka abstrakcyjna”, zatem wprowadził jej twórca, a mianowicie Kandinsky, któremu przykładał Mondrian. Mogę również przypomnieć na marginesie, że to nie krytycy, lecz artyści spierali się o nazwę uprawianego przez siebie kierunku, uzasadniając trafność określenia „Sztuka bezprzedmiotowa” (Maieuw i Rodcenko), lub „sztuka konkretna” (van Doesburg), do której dołączył w ostatnich latach życia sam Kandinsky. Jednak ponieważ, gdyż jego „sztuka abstrakcyjna” zdążyła już wejść do języka krytyki właśnie. Podobnie z kierunkiem surrealistycznym, stworzonym przez grupę poetów i malarzy (gdyby

ktoś zapomnieli: Breton, Aragon, Ernst, Picabia, Marcel Duchamp i in.) i propagowanym przez nich — po dwoma manifestami surrealizmu, w czasopiśmie „Révolution Surrealiste” i „Le Surrealisme en Service de la Revolution”. A krytycy, i owszem, nadechli niekiedy wiele kierunkom już istniejącym, co jednak nie należy do rzeczy, podobnie, jak odstępstwa niektórych artystów od prądów swej młodości i wieku dojrzałego.

Tu konstatuję ze smutkiem, że krytycy mają w istocie żywot niezwykle utawianowy: niczego nie wy-

myślają, a czepią chwytając należną twórcą kierunków. By wyrazić kubizm bądź nadrealizm to, prozę Państwa, nie w kij dmuchał! Niestety, raczej mały Byt pisząc „krytyk i eunuch z jednej są parafrazą, każdy wie jak trzeba, ale nie potrafi”. Poza, rzecz jasna, przypisanie tego lub owego twórcy do określonego kierunku w wypadku, gdy on sam, zapewne z rozstrzygnięcia, tego nie uczynił.

Powiadają Państwo, że dość oryginalnie poczynam sobie z Dostojnym Jubilatami? Być może, choć nie bez koszy: otóż Stern jest przekonany i potrafi zrozumieć przekorę. Z przekory bowiem plynie jego negacja wszystkich i wszystkiego (z wyjątkiem ryby, poutarzem) i ostatecznie zajmowanie pozycji na nie w każdym sporze i przy każdej okazji. Skąd zaś, z jakich przesłanek czerpią owe przekonanie? Otóż z założeń samego Sterna: analizując jego osobowość zawartą w obrazach muszę dojść do podobnego wniosku

ZBIGNIEW ŚWIĘCH

W tę wielką podróż wyruszył Włodzimierz Puchalski statkiem „Antoni Garnuszewski” na początku listopada 1978 roku. Od pierwszego dnia pisał coś w rodzaju pamiętnika pod postacią listów do żony i córki. Z pokładu statku, i później, już z Antarktyki.

W liście z 28 listopada, gdy „Antoni Garnuszewski” znajdował się niedaleko Buenos Aires, czytamy:

Wczoraj złapał mi się gryzek, który e-
lą nos pitołł na ewych skrzyżkach —
— Alcy, jakś duży, tropikalny
— Alcy, którego pokochałem i mam
w stoiku. Czeka na ląd, by czymś
dobrym, zielonym nakarmić. (...)

*

Śledźmy do opisów tego, co
robił Włodzimierz Puchalski w ciągu
ostatnich — bardzo pracowitych —
siedmiu tygodni swego
życia. Mistrz tłumaczy rodzinie,
dlaczego te listy — dziarskie są
takie obszernie: „...pozwala mi to
na małą namiastkę rozmowy, a
jednocześnie piszę coś w rodzaju
kalendarza dnia, bo gdy będę

ptaki i to cudne, ciepłe słońce. No,
ale trudno, wszystko co ma pocał-
tek musi mieć koniec. Głupie jest to
życie, a zwłaszcza jego musowy ko-
niec. Skoro żyję, patrzę w okno: e-
le stada ptaków czekają na mnie,
wiedzą, że zawsze im coś z kuchni
albo ze stołu podkradną. Zwłaszcza
mewy mogą tak pół dnia stać i cze-
kać, aż im coś rzuci. Niespodziewa-
nie zrobiła się piękna, cicha, ciepła
i pełna słońca pogoda, czas porzucić
czarne myśli. (...)

*

30 XII. — Przedostatni dzień 1978
roku. Był piękny, cichy, ciepły, sło-

WŁODZIMIERZ PUCHALSKI wielki przyrodnik i filmowiec
odszedł 6 lat temu. Prezentujemy drugi fragment wspom-
nień o bezkrywawym łowcy. W poprzednim odcinku Zbigniew
Święch opisywał swoje ostatnie spotkanie z pionierem foto-
grafii i filmu przyrodniczego. Puchalski wyjeżdżał z kraju roz-
goryczony dewastacją ukochanych uroczysk północno-wschod-
niej Polski. Na kilka dni przed podróżą, już podczas pakowa-
nia sprzętu powiedział: „...jadę spełnić marzenie mego życia
— jadę robić zdjęcia na Antarktyce. Tam, na antypodach Zie-
mi, spotkam nieskażony świat przyrody. Tu już nie chcę wra-
cać, nie chcę ranić moich pięknych wspomnień...”.

ŻYĆ JAK PTAK

BIAŁY EDEN

montował album, który chyba bę-
dzie najbogatszy z wszystkich mo-
ich i najciekawszy, to się te różne
szczegóły, ułaniające się z czasem,
przypadają”.

Nie było mu dane montowanie
tego albumu. Zajął się tym jego
przyjaciele. Jako jednemu z nich,
przypadł mi bolesny zaszczyt opi-
sania tego — niestety — zamknię-
tego rozdziału. Niechże zatem sam
Puchalski raz jeszcze przemówi i
wprost opowie słowami owego pa-
miętnika o wielkiej przygodzie
swego życia w Antarktyce. Montaż
z jego wspomnień rozpoczynam od
8 grudnia 1978 roku, gdy Wielki
Łowczy zaczął realizować swe O-
STATNIE BEZKRYWAWY ŁOWY
NA ANTYPODACH ZIEMI.

„...Cały dzień gonilem za efektami
i jestem opity, oczarowany tym wszy-
stkim. Znowu boję się, że to dobry
sen, mara, zrobiłem 250 zdjęć cud-
nych pingwinów w różnych sce-
nach, z małymi i tokującymi, prócz te-
go jeszcze inne 4 gatunki ptaków,
które wcale nie reagują na człowie-
ka. Z jednego metra można je foto-
grafować. Sporo godzin spędziłem w
cuchnącej, albo bajkowej kolonii
pingwinów, których tu na wyspie
leżnie się 300 tysięcy sztuk. Widok
sejczyński. Cały stół kilometrowy
krasny tego cudownego ludka. Razem
z Krzysiem Birkenmajerem ruszyli-
my jego znanym szlakiem w zato-
kę stońskich, gdzie dopiero aparaty
poszły w ruch. Stado w pięknej,
cichej zatoce, na tle ścian uspa-
nianego lodowca. Gorąca, żółta pty-
kania, bo wokół wszystko uspania-
nia, szokuje. Catusów sto tysięcy, że-
gnam was aż do maja 1979 roku,
Wass Puch. (...)

15 XII. Jestem tak skomany, że nie
tylko ledwo chodzę, ale i ledwo le-
żę, obolałe kości, stawu i mięśnie.
Chyba nigdy w życiu, a zwłaszcza na
mojej filmowej pracy nie utur-
gałem się tak, że aż dech
zapiera i że zmęczenia zatyka,
po parę razy łapie głęboki od-
dech. (...)

18 XII. Cóż to za przedziwna
aura w tej Antarktyce. W jed-
nym dniu 4 pory roku: ra-
no była tu zima, śnieżna, po-
tem jesienne mgły i szarówka, na-
stępnie wiosenna pogoda, rozświe-
żona, a teraz pod wieczór, ciepło, ci-
cho, istnie lato. Udało mi się dużo
pofotografować.

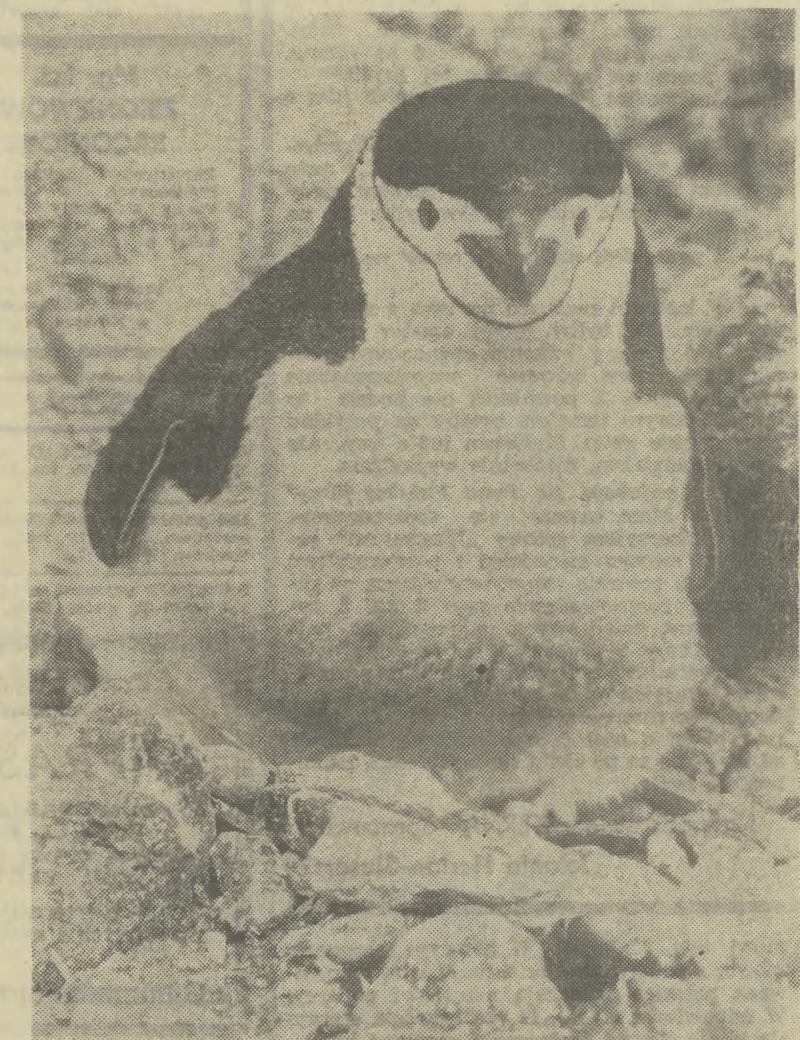
19 XII. Rano obudziła nas biel.
Nowa, po raz trzeci zima. Mój gra-
jek dzisiejszej nocy grał niestrudze-
nie, kto wie, czy też nie będzie on
barometrem moim, bo już drugi raz
się to powtarza, że przed śnieżnym
dnem silnie koncertuje. Ale i dziś
w nocy po raz pierwszy tu odczu-
wałem lekką dół serca, jakąś sena-
cję niepokojącą. Ale to chyba nie
poważnego. (...)

*

24 XII. Wielki dzień, chyba dla
mnie od najmłodszych lat najwa-
żniejszy dzień w roku. Będzie mi
Was brakowało, dlatego nie będę brał
udziału w tujejszej uroczystości, do
której zasiadają 70 osób — zupeł-
nie mi obcych i dalekich. Przed mo-
ją chatą stały mewy i skury patrolu-
ją, czekając co im dam do jedzenia.
Zawsze z każdego posiłku wracając
mam pełne kieszenie jada dla nich
i o tym już wiedzą skury. Tak się
przyszyły, że biorą z ręki. Przed
chwilą przed drzwiami moimi prze-
deflował pingwin adelfa. Samotna
Wigilia z ptakami. Znowu jestem o
jedną Wigilię choć bez niej starszy.
Za tydzień Nowy Rok 1979 i co nam
przyniesie?

25 XII. Już po wieczorze wigili-
jnym, który spędziłem sam z moim
świeterczykiem. Niestety, nie zanu-
cił żadnej melodii i smutno mi,
bo sobie coś zamysliłem — tymca-
sem on zawiązał mi. Czekam, że-
by choć chwilę zajął. Pierwszy
dzień świąt jest deszczowy, bez słoń-
ca, pochmurny i ponury. Zie spowa-
ła tej nocy — odczuwam lekkie bóle
serca. Te dwa dni świąt bardzo mi
psują humor, bo znowu ta „gawiedź”
cała rozlezie się po pinwinikach na
plener i będą ptyścy, albo nawet
gonić, straszcy. (...)

27 XII. Jeszcze cztery dni tego
roku i już 1979. Za kilka miesięcy roz-
pocznie 71 rok życia. Boże, gdzie te
lata uciekły, jakie to szybko zbliża
się kres człowieka, no bo skoro sie-
dem dziesiątek lat tak przemogłem,
coż dopiero te ostatnie 10 czy 20, ale
nie da Boże dożyć tego zramole-
nia w podstępnych latach... już i tak
zdaje mi się czas i pora na łopate,
choć będzie mi bardzo ciężko opuszczać
przede wszystkim swoich najbliż-
szych, a potem ten cudny świat przy-
rody, moje kochane kwiaty, motyle,
aromatyczne łąki i pola, rozświe-
tleny polany leśne i rozpalone ży-
wiący bory sosnowe, wody, trzcinę,



Fot. W. PUCHALSKI

nieczny. Od rana uganiał się, kre-
cał film. Do obiadu umordowałem się
sennie: skręciłem 8 kas. Obiad,
przeładunek kas. Ledwo na nogach
stałem, hop do swej nory, drzemka
do czwartego i w plener. Rano nie na-
lepiej się czułem, nie mogłem głębo-
kiego oddechu zrobić. Jakaś zadyska,
czy co? Wieczorem, to już dobrze czu-
ję kości, stawu, zwłaszcza nóg. Podo-
bno że jest, gdy się wie coś o swo-
ich częściach ciała. Człowiek nie po-
winien wiedzieć, co i gdzie ma, co
do czego jest przypiętione... Ja nie-
stety już wiem, że mam serce, bo je
często styżę w ciży jak kolację się...
Jutro Sylwester. Mam zamówioną
rozmowę z Wami, Kochana. Oby mi
się udało połączyć i żyć z Wami no-
wego, dobrego roku 1979.

31 XII. I tak doświadczeniem końca
roku. Przeżyłem i to szczęśliwie, nie
chorowałem i prócz matych doleg-
łości, normalnych w moich latach,
byłem zdrowy, czynny i aktywny. Wła-
ściwie to należałoby zrobić całkow-
ity rachunek sumienia: winien, nie
winien, co dobrego a co złego za ten
ubiegły rok. Ale jak — tak daleko
od swoich najdroższych, od umiło-
wanych kątów, zakamarków i akces-
oriów, towarzyszących człowiekowi na
co dzień? Bez tego wszystkiego, co
było bliskie cały rok, co tworzyło
moje środowisko, jest mi trudno po-
zbierać myśli, a zwłaszcza dobre i
cie przyjemne. (...) Przykro mi, bo
cieżylem się wczoraj na telefoniczne po-
łączenie z domem, ale niestety, nie
udało się. Mimo wszystko, żyję i mój
antarktyczny przebieg mi pogodnie,
radośnie, bo jest pełen uroku przy-
rodniczych. (...)

Do końca roku 1978 zrobiłem 2100
fotografii. Oj, co to będzie w ciemni,
to wszystko powiększę, no — ale to
jest album, może i dwa. To są także
odciski i telewizja. Przez całą mi-
nioną rok a nawet lat parę nie ro-
biłem tylu rolek... *

Nowy Rok 1979. O północy strzela-
liśmy z 24 butelek szampana, także
24 strzały z rakietami w niebo. Z
drugiej strony zatoki, przy lodowcu,
gdzie jest Krzysztof Birkenmajer
z swoją grupą, odpowiadając też pu-
szali w górę gwizdy. Efektownie
to wyglądało i tak się zakończył rok
stary. Po śniadaniu ruszyłem z ma-
gnetofohem i aparatem w plener. (...)

Drugi tydzień Nowego Roku. Wre-
dne są te wchury tak uprzykrzające
życie. Zimno w ręce, bo zapomniałem
rekawic, z trudem ładowałem film.
Po trzydniowej bezczynności, jutro już
chyba w zwolnionym tempie zacząć
filmować. Trochę jeszcze dmucha, ale
tu nie ma nigdy kompletnej ciszy.
Kręcim mewy, pingwiny i siewki.

Trudno mi jeszcze chodzić, ale się su-
wam bardzo ostrożnie, by gdzieś nie
nogi nie postawić. 10 stycznia sło-
neczno-bajkowy. Tu można fotografo-
wać i filmować do ósmej wieczorem,
bo takie ostre, dobre słońce. Jesteśmy
w pełni lata...

Chodzenie mi czyni ból i ciężko mi
się poruszać — to kolano, to podstopie
w palcach, to oczy stale zalazłone
i tak się człowiek powoli rozlatuje, ra-
mojeje.

Byłem u lekarza z nogą, bo coraz
bardziej niepokoił mnie stan mój. O-
rzeki, że są naderwane, uszkodzone
wiązania kolanowe. Przez 4 tygodnie
noga powinna być unieruchomiona,

musiał być wysiłków w to włożyć —
a wszystko z powodu nępatywnego
stosunku zęba do nas, do mnie i do
naszej pracy. Do odczytów i albumów
mam już spory, a nawet wystarczający
materiał, ale do filmów trzeba jeszcze
sporo dokrętek porobić. Wszystko mu-
si mieć jakąś akcję i dramaturgię...

(...) Na życzenie TV mam zrobić film
o sobie, przyszło mi do głowy, by
oddać to Ryslowi. Może to będzie dla
niego film dyplomowy do awansu,
bo w pełni na to zasługuje. (...)

18 I 1979. Jakże mimo wszystko ten
czas szybko leci, już zaczynam się de-
nerwować, czy aby uda mi się plano-
wo porobić zamierzone tematy. Czas
nie stoi — pingwiny, ptaki, rosną, mi-
ja lato — nadejdzie tujejsza jesień i
znów dopiero za rok się to powtórzy,
a ja już wolaliby tu nie powracać,
choć kto wie, zapewne gdy będę w
kraju, to nierzaz zatęsknię. Tak sa-
mo, jak kiedyś z radością opuszcza-
łem Spitsbergen, a dziś tak często
powracają tam myśli i chętnie poje-
chałbym tam, by moimi drogami
przemierzyć te okolice sprzed 21 lat.
Tak już jest, że tam, gdzie człowiek
coś przeżył, tam zawsze pozostaje ja-
kąś jego niewidoczna cząstka. Może to
jest właśnie ta dusza, o której nie
nie wiemy? Dziś w nocy zakończył by-
cie moim ukochany grzejek. Może to był
normalny jego kres życia, przecież

owady mają swój, bardzo krótki, kres.
Juz mi nocy nie zapra polnej czy sta-
rodawskiej melodii, będzie cisza bez
sielskich marzeń.

Dzień ponury, do filmowania nie
nadaje się, ale będę nagrywał głosy
— to już ostatnia pora (...) WFO spo-
dym sumę wyasygnowała dlatego pod
obuchem zobowiązania zdaje sobie
sprawę, że tu nie wolno mi ani chwi-
li, ani okazji stracić. Jak dotąd, nie
przegapiłem, nie zmarnowałem ani
godziny. Oprócz tego gromadzę mate-
riał fotograficzny do albumu, do któ-
rego muszę zrobić około 200 koloro-
wych slajdów 6x6 i 1000 czarno-bia-
łych, małoobrazkowych. To wszystko
prawie mam już gotowe. Przynam je-
dnak, że często chętnie bym już
chciał nie nie robić, spocząć na la-
urach i po wieczne czasy usnąć. Coś
to nie jest dobrze — tak być nie po-
winno.

19 I 1979. Dzień zapowiada się po-
myślnie, słońce jaskrawe, błękitne
niebo i wokół cisza bez wiatru, a
więc dzień będzie pracowity. Rano
wąska taśma, po obiedzie szeroka. Ma-
my już skrócone 7 kilometrów szeroko-
ści i 1000 wąskiej. Jeszcze pozostało
do wyrobienia 1000 m szerokiej i tę
chowamy na jakiejś już extra sprawę,
no i 6000 m wąskiej.

Od rana lażą po budzie moje skury
i chcą, żebym się ujawnił, bym dał
im coś — więc jakie można nie przy-
jąć takiego zaproszenia od ptaków.
Zawsze coś mam na czarną godzinę,
ale dla siebie, więc z tego dziele dla
nich. Oczywiście, że co są rano, to
moje najwspanialsze, prawie nie od-
stępują cały dzień.

(...) Cały czas mi towarzyszą, a
teraz rano po prowizorycznym pocze-
stunku plasterkami suchej kiełbasy
leżą przed drzwiami i nie spuszcza-
ją mnie z oka, cały czas obserwują, czy
aby nie wyciągnę do nich ręki z pocze-
stunkiem...

NA TYCH SŁOWACH PAMIĘTNIK
SIĘ URYWA.

*

Oto relacja, jaką przekazał mi bez-
pośrednio Ryszard Wyrzykowski. To
on, jako asystent, pomagał Włodzimie-
rowi Puchalskiemu przez cały czas
pobytu na Antarktyce i był przy Nim
do ostatnich chwil Jego życia.

W przeddzień śmierci przyszedł
pan Puchalski do mojej przyczepy —
wspomina Ryszard Wyrzykowski — i
mówił: Rysiu, przed chwilą zdechł mój
świeter. To jakaś złą wróżba, zły
znak? Oczywiście, wtedy nie analiza-
wałem tego zdarzenia.

Czekał nas normalny dzień pracy.
1 stycznia, od samego rana świeci-
ło wspaniałe słońce. Poszliśmy na
pingwinisko. Małe pingwiny Adelfa
traciły swe puchowe futerka i wygła-
dały przesennie. Przypatrywały nam
się z wielką uwagą.

Zrob to w helmie. Zobacz, tam-
ten ma półropus na czubie — mówił
pan Włodzimierz. Koniec kasety.

Rysiu, załaduj nową — usły-
szalem.
Kiedy pan Włodzimierz nadal robił
zdjęcia uroczym pingwinom, zbliży-
łem się do plecaka, w którym mie-
liśmy zapas kas. Byłem 5-7 kroków
od Puchalskiego, zajęty grzebaniem w
plecaku, nagle usłyszałem:

— Rysiu, ciesz się. Umieram.
Rzuć mi kasę i jednym skokiem
znajdziesz się przy nim. Onaś się na
małe tęce, z trudem oddycha, tra-
ci świadomość. Natychmiastowa po-
moc lekarska nie dała żadnego rezul-
tatu. Zastrzyki, kroplówka, masaże ser-
ca — wszystko na nic...

20 stycznia 1979 roku, rano, odbyły
się uroczystości pogrzebowe. Ciało
Zmarłego składamy do skromnej, wy-
konanej przez naszych stolarzy, trum-
ny. Nie myśleli oni, nie przypuszcza-
li, że tego rodzaju pracę będą tu, na
stacji polarnej wykonywać.

Surowy dębowy krzyż, tabliczka z
nazwiskiem, skromny wianuszek z
mchów i porostów. Polurnym zwy-
czajem każdy uczestnik wyprawy
składa na mogile kamień. Jest piękny,
słoneczny dzień, najpiękniejszy dzień
tamtego lata, plus 16 st. Celsjusza.
Zatoka Admiralicji tonie w blasku
słońca.

*

Kiedyś w jednym ze swych albu-
mów, Włodzimierz Puchalski napisał:
„Wszędzie gdzie żyje człowiek, są tak-
że ptaki. Chyba nie ma na świecie
takiego kątka gdzie by ich nie by-
ło”.

I pozostał zawsze wśród „ptaków z
dalekich stron”.

Tekst, którego fragmenty prezentu-
jemy, ukazuje się w formie wstępu do
albumu pt. „OSTATNIE BEZKRYWAWY
ŁOWY” Włodzimierza Puchalskiego
przetworzonego w krakowskiej
KAW.



Fot. Maciej Burger

Wysoki, rozrzućny w gestach, oczy ruchliwe,
profil z lekką chopinowską. „Mnie do-
tychczas szczęście sprzyjało, teraz noga
mi się powinęła”.

Taksówkarz. Po wypadku (jakis młokos rozebił
go na żółtych światłach) zbyt łatwo się dener-
wuje. Wyrzuca to sobie: „...przecież przypa-
dło mi w udziale wychowanie dziesięcioletniego
dziecka, to musi być spokój, żeby nim pokiero-
wać w myśl założen klasy robotniczej...”.

Z uśmiechem sprawdza wrażenie. Wyjaśnia na
wszelki wypadek: „No, bo klasa robotnicza rza-
dzi, choć bez inteligencji nie możemy się obejść”
— tu figlarny uśmiech w moją stronę.

Rozmawiamy w niewielkim domu z ogródkiem,
na peryferiach miasta, gdzie tuż za obszarem
ścieralińskich badi i spłanych, nagich krzewów
huczy tam to skrzyżowanie. Pod oknem garaż
rozbitego „wartburga”. No i jak nie nawracać ciągle
do tej cholery? Dobrze, że pasażerze i dziecko nie
są w samochodzie. Jak on mógł. Może dwadzieścia dwa,
może dwadzieścia cztery, więcej nie miał. W ka-
żdym razie takiego przypadku nie było w całym
długim życiu pana Michała. Takjecha? Na trzy-
pasmówce? Albo ci młodzi niedouczeni, albo za ma-
ła wyobraźnia...

Ale nie, lepiej nie tykać tego tematu.
Najpierw należy się dziennikarzowi coś z życiory-
su. Gospodarz zrywa się ze swego miejsca, przy-

ro pułapka na człowieka. Nie można tego prze-
skoczyć. Stoi się, i patrzy, i rozpatrywa. Taki
fajny był wóz, że buzi dać. Na obecny kryzys —
ideal. Jeździ na niebieskiej. To prawda, że smro-
dzi jak każdy dwutakt, ale mocny i stosunkowo
tani w eksploatacji. Pan Michał z żoną dopiero
co wygrzebiali się z rat po zakupie tego samo-
chodu. No i rozbity. Na dodatek długie terminy
napraw w Polmozybie. „Włeczek czekam. Złoty-
łem pismo. Takem się uwiąz, że wszystko teraz
robię na piśmie”.

Zona pana Michała znosi talerze z obiadem.
Bordowy dywan w kwiatki dostroił się teraz
barwą do łuny zachodu ze stadem wron na tle
brudnego nieba. Pod lampą — bańka Grima.
Przecież dziecko w domu. Z tym, że to, co pan
Michał przechodził zmieniając swoje spojrzenie
na świat z wyżyn taksówki w perspektywę pie-
chura, wcale nie jest baśnią.

Najpierw te kolejki, w których trzeba postać,
bo ostatecznie kto teraz ma więcej czasu na sta-
nie w kolejkach? Ten co na zwolnieniu. Kapi-
talna okazja do obserwowania jak grzeźni kli-
enci z taksówek walczą o byt. Kiedyś stałem
w „Delikatessach” w Ryńku — opowiada pan Mi-
chał — i jakaś starszuszka podesza, okazała le-
gitymację. Pani nie uwierzy jak się jeden facet
do niej odezwał, bo odważyła się podejść bez
kolejki: gdybym miał łufę, to bym paną za-

NA POSTOJU

EWA OWSIANY

nosi jakieś zawiniątko z dokumentami, wyciąga
Arbeitskarte z okresu przymusowych robót w Elb-
lagu, gdzie produkowało się lekomotywy i zwi-
torpedy — dwuosobowe łodzie bojowe. „Moim ma-
rzeniem jest pokazać dziecku ten Elbag” — mru-
czy mężczyzna.

Podsuwa zdjęcie młodzieńcze: litera P. na klapie
marynarki, krawat, zaciete usta w długiej, pości-
głej twarzy. „Nie wolno było wychodzić do miasta,
ale jakoś się przeżyło”.

Po powrocie zajął się chłopcem Komitet Opleki
Społecznej — sekcja dla więźniów i tych, którzy
przeżywali obozy pracy. Otyła ciętka OKOS. Krak-
ów Mały Rynek 8 pamiętny telefon 500-00, data
z października 45.

Co na początek? Ukończył kurs traktorzystów.
Potem praca w PGR olsztyńskich. Jest kierow-
nikiem gospodarstwa, potem sekretarzem organi-
zacji zakładowej, potem wraca do wyuczonego w
Elbaku zawodu. Jest spawaczem, wreszcie awan-
suje na kierownik dyrektora zakładów metalowych.
Jeździło się tak zwaną garbuską z szerokim tyłem,
dobry był wóz, solidny.

A kiedy to wszystko przestało go już bawić ku-
pił za 88 tysięcy „warszawę” i został taksówkarzem.
„Lubiłem to, bo miałem tylko jeden problem: być
uczciwym wobec pasażera i swoją normę wykonać”.
Człowiek dysponował czasem, sam sobie narzucał
tempo pracy, a po pewnym czasie stał się i psy-
cholekiem. „Takie mieć, to się równa wiedzieć kto
jest jaki, jak z kim trzeba”.

Najbardziej podobał się mojemu bohaterowi klie-
ent starsi wiekiem. „Wczuwałem się w tę ich tes-
knotę do taksówki, a też kiedyś będzie stary”.

Paniom mówił: całąkę rzadki, otwierał drzwi
wozu. Mili klienci się zdarzali, trzeba przynaj-
mniej dobrze wychować. Jak człowiek miał szczęście,
i to spód łowu kogo wzięł i pojechał do Zakopanego
czy Szczawnicy. A jak się trafił Amerykaniec, to
wiadomo było, że dwa, trzy dni pod Giewontem
dobrze się odpocznie — a taryfa leciała.

Ale nie, nie trzeba myśleć, że on leży tylko na
zielono i że wszystko było w jego życiu polowa-
niem na Jankeś. Nie, nie. „Zawsze lubiałem ma-
łą lyżeczką jeść. Nienachalnie z dóbr korzystał.
Trzeba dobrze się nakreślić, żeby pieniążki leciały
przez zegar”. I w swoim życiu pan M. był tylko
dwa razy z gościem w Warszawie: pod Forum i na
lotnisku. Prawda, że bez cudów?

Albo ten zabawny antagonizm: zawsze się mowi-
ło, że najgorzej cwaniali na taksówkach są w sto-
licy, a tamci znowu uważali, że to w Krakowie jest
najgorzej element. Czemu? Bo ja wiem... I nagle
zdanie tajemnicze, które sygnalizuje mi przejście
w nieco inny obszar przeżyć: „Jak się na zebra-
niu coś skrytykuje, to się potem zamieniają za czło-
wiekiem drzwi, pani redaktor...”

Był częścią Zrzeszenia Prywatnego Handlu
i Usług. Teraz nazwano ich Zrzeszeniem Transpor-
tu. „Po co my się rozeszli? Ile razy tam zajdę, to
mi słabo — palce tam porobił...” Na Grodzkiej był
prezes i dwóch urzędników, a także pan Franciszek,
były taksówkarz, chodząca encyklopedia. Znal
wszystkich po imieniu, choć ich było aż dwięciu-
ście. Aż czy tylko? Mógł sobie na to pozwolić, że
znał. A teraz taksówkę jest sześć tysięcy, dyrektor,
prezes, sekretarka, kierownik biura, inżynier, pod-
patrzyli urzędy i na każdym drzwiach starszy in-
spektor, młodszy inspektor, godzinny przejęt, prze-
wy śniadaniowe, czwartki nieczynne itd. Przecież,
kiedy się przyszło, było wiadomo, że swoi czeka-
ją, składki zapłacone, pan Franciszek wytwornie u-
śmiechnięty, i w porządku. Było „u siebie”, praw-
ie domowo. A teraz...

Pan Michał porwa gazetę z moim artykułem
o nerwicach. Wyszukiwa cytaty z Augusta Strin-
dberga: „Skoro nie chcesz mnie podnieść do siebie,
to mnie przynajmniej nie deptaj”. Nie wie, że to
zdanie figuruje w wejściu do przychodni w Twor-
kach, nigdy nie słyszał, że było dowidą krakowskie-
go psychiatry Antoniego Kapiańskiego. I nagle —
okazuje się, że dotyczy Jego, dotąd najdroższego
na świecie człowieka!

A więc zachorował! Chwyciło. Z gazet. Z gazet.
Pan Michał gwałtownie zaprzagnął podniesienia
na duchu. Jest mu źle. Obco. W wrzeszeniu, w
tramwajach, którymi nigdy dotąd nie jeździł,
w przychodniach, gdzie się jest numerkiem do
odfajkowania, w domu, gdzie nudno.

Słońce zaszło. Lila kolor koszuł pana Michała
pogiębił się o ton. Dziecko wraca ze szkoły, wita
kota. W półmroku ogrodu garaż, a w nim
rozbity „wartburg”. Bliskość tego wraka to dopie-

strzeż! Myślałem, że mnie krew zaleje — pan
Michał wpada w rzytm.

Dopiero teraz dowiedział się także jak się
jeździ tramwajami. Co to znaczy tłok w godzi-
nny szczyt i jak coraz mniej gorliwie ludzie
ustępują miejsc ukochanym przez pana Michała
starszkom. Wsiadł kiedyś, dziewczątka bodaje,
cały rząd krzesel zajętych przez dzieci jadące
z pływalni przy ul. Powstańców Warszawy. Nie
doszła do nich żadna z wychowawczyń, by zwró-
cić uwagę, zrobić miejsce.

Pan Michał wstaje, musi sobie zapalić, sze-
leści pudełkiem od papierosów. Rozpamiętuje
scysy z chłopakiem, który czuł się rozgłoszony
od ustapienia miejsca faktem, że ma rękę na
temblaku. Chory jestem — powiedział. — Umie-
rasz? — powiedział pan Michał. — Zobacz, ile
lat od ciebie starszy jest ten człowiek, który
z trudem łapie powietrze. Musisz siedzieć, to
chodź, przesiedź się na moje miejsce... Skrzy-
wiony wstał.

Wreszcie trzeci krąg wtajemniczenia. Pan Mi-
chał poznał zależność człowieka chorego od tych,
którzy go mają leczyć. Dziwne uczucie, pierwszy
raz doświadczane. Tak jest, ludzie zdrowi jakby
zapomnieli, że w południe życia rodzi się rów-
nież jego zmierzchni. Uwikłani w bezlitosny kie-
rat zajęć codziennych, nad którym stopniowo
przestają panować, nie wiedzą, jak głęboko wy-
pisano w ich duszach nakaz produktywności.
Myśla, że to jedyny sens życia pracować w zd-
szanym tempie. Dopiero jak im bylnie w ocz-
kach, choćby tak w końcu niewinny jak ten
że skrzyżowania — uświadamiają sobie, że coś
trzeba zrobić z tym i nym w życiu, aby z braku
wyobraźni, z braku przyzwyczajenia, z braku
nawyków nie pódcać się losowi, nie robiąc nic.

Bo wtedy spada na człowieka nuda, a ta prze-
radza się w zastój wszelkich życiowych energii
i jakakolwiek odmiana staje się niemożliwa.

Dobrze, że pan Michał namiętnie czyta. Przy-
najmniej to go ratuje przed samym sobą.

No i skrupulatnie nawiedza ośrodki zdrowia.
Stoi pod okienkami rejestratorów, puka w roz-
maite drzwi, czeka, żeby ktoś spytał z czym
przychodzi. Dają skierowania, radzą iść na pier-
wsze albo drugie piętro, przy czym może się
okazać, że nie ten rejon i trzeba iść do innej
przychodni. Tam na pewno załatwią.

W swych filmach jest wiecznym pechowcem. W filmie „Broadway Danny Rose's”, który niedawno wszedł na ekrany kin zachodnio-europejskich opowiada historię drobnego impresaria z Nowego Jorku, którego porzucą wszyscy klienci, gdy tylko osiągnie sukces. Kiedy ta sama historia powtarza się z podrzędnym tenorem Lou Canova, Danny Rose zadawala się przynajmniej jego kochanką — panią z przedmiescia, która w filmie odgrywa Mia Farrow. „Broadway Danny Rose's” jest filmem zabawnym i smutnym, jednym z najpiękniejszych obrazów Woody Allena. Redaktorzy „Sterny” umówili się z reżyserem na rozmowę w jego biurze. Miał na nogach rzucające się w oczy duże buty, szerokie bezwosne spodnie, do tego jasnoróżową koszulę — w tym samym stroju klarnecista Allen występuje w poniedziałkowe wieczory wraz z zostającą przyjaciółką w nowojorskim jazzklubie „Michael's Pub”. Sprawia wrażenie człowieka życzliwego, skromnego, nieco zakłopotanego.

— Komu chciał Pan filmem „Broadway Danny Rose's” wystawić pomnik?

— Żadnej konkretnej osobie. Kiedy w latach 60. występowałem w kabarecie, zna-

— W żadnym wypadku. Aczkolwiek oferowane są mi teraz niebotyczne honoraria. Więcej pieniędzy, niż zdołałbym zarobić w 5 filmach.

— Za to inni reklamują, wykorzystując Pańską twarz.

— Tak. Mam wielu sobowtórów w Ameryce, Europie, nawet w Japonii, którzy ubierają się tak jak ja, mają w ręku klarnet jak ja, krótko mówiąc: udają przed publicznością, że są mną. Dlatego muszę ich skazywać do sądu.

— Czy ludzie myślą Pana o bohaterami, których odgrywa Pan na ekranie?

— Tak, często mi się to zdarza. A tylko niewielka część moich dowcipów ma coś wspólnego z moim życiem prywatnym. Reszta jest po prostu wymyślona.

— W swoich filmach kartuje Pan często z psychoanalizą, dziedziną, w której świetnie jest Pan zorientowany. Obliczyliśmy, że w minionych 27 latach przeleżał Pan na kanapie

— ...czego, jak powszechnie wiadomo nie czyni Pan chętnie.

— To prawda. Podróżowanie wcale mnie nie bawi. Nie wyjeżdżam nawet na urlop. Nienawidzę plaży, natury. Jest upalnie, biedronki spadają na człowieka, nie mam co robić i pragnę być jak najszybciej w domu. Jedynym wyjątkiem są krótkie wypadki do Paryża.

— Jest Pan pracownikiem?

— Praca sprawia mi przyjemność. Jak rzemieślnikowi, który kocha swój zawód. Placę mi za to, co bardzo chętnie robię. Chciałabym to tylko pisać i pracować w studiu, montowania i opracowywania filmów muzycznych. Samo kręcenie filmu jest okropne. Każdego dnia trzeba opuszczać mieszkanie o 6 rano, potem stoć się na dworze, mimo że panuje gorąco lub zimno nie do zniesienia. A wszystko to trwa 15 tygodni. Nie kręce filmów, które rozgrywają się daleko.

— Czy to ma znaczyć, że raczej rezygnuje Pan z interesujących pomysłów, niż miałby Pan je realizować w nieprzyjemnych warunkach?

— Tak.

— Co sądzi Pan o filmach będących ucieczką od rzeczywistości, jakie robią George Lucas i Steven Spielberg?

— Nie przynioszą nam zaskoczenia. Jest to rozrywka na infantylnym poziomie. Nie zajmują się problemami, które nas obchodzą. Osobiście bardzo wysoko cenię Spielberga i uważam go jako filmowca, ale stoję po drugiej stronie. Gdybyśmy oprócz Spielberga mieli w Ameryce jeszcze kogo poważnego, wymagającego, intelektualnego, to wszystko byłoby w porządku. Ale my mamy prawie tylko takie filmy.

— To dlaczego nie żyje Pan w Europie?

— Jakichś czasu temu poważnie myślałem o tym by przenieść się do Paryża. Ale Nowy Jork to przecież moje miasto rodzinne.

— Czy chętnie wspomina Pan Nowy Jork Pańskiego dzieciństwa?

— Mój ojciec często zabierał mnie z Brooklynu na Manhattan. Wówczas nie istniały jeszcze problemy masowej narkomanii, ubóstwa, prostytucji, pornografii. Jestem po prostu nieco nostalgiczny. Co łatwo można zauważyć oglądając taki film jak „Manhattan”.

— Czy jest Pan może utajonym konserwatystą?

— O nie! Jestem liberalnym członkiem demokratów. Dla poprzedniego burmistrza Nowego Jorku Johna Lindsaya pisałem na-

wet przemówienia, a Johnsonowi i Mc Governowi pomagałem w kampanii wyborczej. Ale problemy, które mnie interesowały nie były nigdy czysto polityczne. Rzeczy, które mnie poruszają to psychologia, filozofia i religia. Nie wierzę, aby można było zmienić świat przez rozwiązania polityczne. Obojętnie, kto obejmie władzę, ludzie i tak będą się nienawidzić.

— Powiedział Pan kiedyś, że najlepszą metaforą życia jest obóz koncentracyjny. Czy był to tylko zwykły gag, czy myślał Pan tak naprawdę?

— Poważnie. Istnieją podobieństwa. Więźniowie znajdowali się w obozie nie bardzo wiedząc dlaczego. Jedyną możliwością wydostania się stamtąd była śmierć. Niektórzy zachowywali się w tych warunkach godnie, inni okropnie. To samo odnosi się, moim zdaniem do życia. Jesteśmy tu nie bardzo rozumiejąc dlaczego. Zostaliśmy tu po prostu wrzucony, a na końcu jest śmierć. Prawda napalająca strachem.

— Ale w odróżnieniu od obozu, możemy się tutaj na ziemi mimo naszej śmiertelności rozkoszować życiem. Czy nie?

— Stwierdziłem, że trudno jest przeżyć mi samego siebie i powiedzieć sobie:

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 21 stycznia 1988 roku zmarł w wieku 60 lat

Michał GAWRYŚ

dlugoletni pracownik Rzeszowskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego, odznaczony za waleczność i ofiarną pracę zawodową i społeczną Złotym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką „Zasłużony dla Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych”, Złotą Odznaką „Za zasługi w pracy związkowej”.

Żonie i Rodzinie Zmarłego składamy wyrazy głębokiego współczucia

Dyrekcja, Rada Pracownicza, KZ PZPR, NSZZ, Zarząd Budów Nr 2 oraz współpracownicy

Wszystkim, którzy wzięli udział w uroczystościach pogrzebowych mojej najdroższej Żony i Matki

Zofii FAŁOWSKIEJ

oraz tym, którzy w tych ciężkich dla nas chwilach okazali nam wiele serca i współczucia — składamy tą drogą serdeczne podziękowanie

MAŁA & SYNAMI

„Jestem po prostu nostalgiczny”

lem wielu takich agentów. Ich klienci nie osiągnęli zbyt dużych sukcesów, a mimo to traktowani byli przez swolch menedżerów jak wielkie gwiazdy. Tacy ludzie jak Danny Rose trościli się o jednorokich żonglerów, ślizgając się na lodzie pingwiny czy śpiewające papugi. I to im poświęcono jest mój film.

— Czy przypominają Pan sobie swój pierwszy występ w kabarecie w roku 1967?

— To było straszne. Nie przyszedł prawie nikt — zajęte były trzy, cztery stoliki. Wówczas zarabiałem już sporo pieniędzy pisząc dowcipy dla telewizji i myślałem, że doświadczanie scenicznego doka mi splendoru. Ale gdy zobaczyłem pustą salę, miałem dosyć.

— Czy ludzie się śmiali?

— A jakże. Wiedzieli, że jestem początkujący i byli dla mnie bardzo serdeczni.

— Był Pan w młodości dobrym sportowcem, grał Pan w baseball i uprawiał Pan boks. Dlaczego został Pan komikiem?

— Jako młody chłopak zupełnie serio zmierzałem zarabiał na życie graniem w baseball. Ale moi rodzice stanowczo się temu sprzeciwili. A kiedy miałem wstąpić na uniwersytet, nie wiedziałem, który wydział będzie dla mnie najodpowiedniejszy. Ponieważ moi przyjaciele uważali mnie za dowcipnego postanowiłem spróbować jako autor żartów i skeczów.

— Co nie było dla Pana niczym nowym. Już w okresie szkolnym sprzedawał Pan dowcipy.

— Każdego dnia. Nowa praca szła mi dość łatwo. Do pracy jeździłem godzinie metrem, w tym czasie czytałem gazety i od razu wymyślałem dowcipy na temat różnych przeczytanych informacji. Nie miałem zresztą wyboru — dowcipy opłacano mi z góry.

— W latach 60. robił Pan wszystko aby spopularyzować Woody Allena — nawet reklamował Pan wódke.

— Tak, rzeczywiście. Nie byłem jeszcze popularny jako komik. A jeśli chcę, by ludzie z twojego powodu wybrali się do kabaretu, muszą znać twój twarz.

— Stał Pan nawet na koniku na biegunach...

— Robiłem jeszcze gorsze rzeczy, np. boksowałem się z kangurem.

— Myśleliśmy, że jest Pan nieśmiały?

— Bo jestem, ale na scenie jest się tylko odzwierciedlać, nawet wówczas, gdy występuje się przed 20 tys. widzów. Ale gdy przedstawienie się kończy nie lubię z ludźmi rozmawiać.

— Czy dziś podjąłby się Pan pracy w reklamie?

w gabinecie psychoanalityka 4000 godzin. Czy to coś dało?

— Nikt nie może otrzymać dyplomu za świadczonego, że jest znowu normalny. Ale mi to pomogło. Jako młody człowiek byłem bardzo nieszcześliwy. Psychoanaliza sprawiła, że zacząłem pracować na większym luzie. Nie mam już tego neurotycznego pola widzenia, w którym pewnym zjawiskom przypisuje się zbyt dużą wagę. Bez pomocy psychoanalizy byłoby mi na pewno trudno żyć z Miał Farrow. Ona ma 3 własnych dzieci i 4 adoptowanych. Ja nigdy nie miałem dzieci, a tu naraz siedmiorgo na głowie!

— Ale one nie mieszkają z Panem?

— Nie, ale spędzamy razem dużo czasu.

— Po tych wszystkich latach seansów w psychoanalizie, czy zna się Pan lepiej? Czy pełniej się Pan akceptuje?

— Czy się znam? — Tak. Akceptuję nieco więcej niż kiedyś. Jakkolwiek są jeszcze chwile, kiedy pragnąłbym być kimś innym.

— Kim na przykład?

— Możeście wierzyć lub nie, ale Marlonem Brandem.

— Przecież on jest stary i tłusty, przestał pracować. Pan odnosi znacznie większe sukcesy.

— Tak, ale w latach aktywności zawodowej był wspaniały i bardzo ważny. Posiadał on nerw, który tkwi głębiej, niż ten, który ja posiadam.

— Powiedział Pan, że kobiety miały ogromny wpływ na Pańskie życie. Poza miłością i seksem, co ciągnie Pana do kobiet?

— Zasadniczo powiedziałbym, że kobiety są bardziej fair.

— Był Pan długo zaprzyjaźniony z Diane Keaton, gwiazdą Pańskich wcześniejszych filmów, a teraz żyje Pan z Miał Farrow. Czym one się różnią?

— Diane stoi zawsze w centrum zainteresowania, zwracanie uwagi, dowcipna, złośliwa. Jest jednym z niewielu ludzi zdolnych mnie rozśmieszyć. Mia jest wrażliwa, nieśmiała, ale tylko wobec obcych. W codziennym życiu z siedmiorgiem dzieci jest zadowolona, zaradna i praktyczna.

— Dlaczego tak rzadko pracuje Pan ze znanymi gwiazdami?

— One mnie ośmieszają. Najchętniej pracuję z przyjaciółmi. Mogę im zawsze powiedzieć po spartaczonym scenie: to było okropne powtórzyć to jeszcze raz. Często w kilka miesięcy po zakończeniu zdjęć powtarzam sceny, które nie podobają mi się przy mon-

— ...czego, jak powszechnie wiadomo nie czyni Pan chętnie.

— To prawda. Podróżowanie wcale mnie nie bawi. Nie wyjeżdżam nawet na urlop. Nienawidzę plaży, natury. Jest upalnie, biedronki spadają na człowieka, nie mam co robić i pragnę być jak najszybciej w domu. Jedynym wyjątkiem są krótkie wypadki do Paryża.

— Jest Pan pracownikiem?

— Praca sprawia mi przyjemność. Jak rzemieślnikowi, który kocha swój zawód. Placę mi za to, co bardzo chętnie robię. Chciałabym to tylko pisać i pracować w studiu, montowania i opracowywania filmów muzycznych. Samo kręcenie filmu jest okropne. Każdego dnia trzeba opuszczać mieszkanie o 6 rano, potem stoć się na dworze, mimo że panuje gorąco lub zimno nie do zniesienia. A wszystko to trwa 15 tygodni. Nie kręce filmów, które rozgrywają się daleko.

— Czy to ma znaczyć, że raczej rezygnuje Pan z interesujących pomysłów, niż miałby Pan je realizować w nieprzyjemnych warunkach?

— Tak.

— Co sądzi Pan o filmach będących ucieczką od rzeczywistości, jakie robią George Lucas i Steven Spielberg?

— Nie przynioszą nam zaskoczenia. Jest to rozrywka na infantylnym poziomie. Nie zajmują się problemami, które nas obchodzą. Osobiście bardzo wysoko cenię Spielberga i uważam go jako filmowca, ale stoję po drugiej stronie. Gdybyśmy oprócz Spielberga mieli w Ameryce jeszcze kogo poważnego, wymagającego, intelektualnego, to wszystko byłoby w porządku. Ale my mamy prawie tylko takie filmy.

— To dlaczego nie żyje Pan w Europie?

— Jakichś czasu temu poważnie myślałem o tym by przenieść się do Paryża. Ale Nowy Jork to przecież moje miasto rodzinne.

— Czy chętnie wspomina Pan Nowy Jork Pańskiego dzieciństwa?

— Mój ojciec często zabierał mnie z Brooklynu na Manhattan. Wówczas nie istniały jeszcze problemy masowej narkomanii, ubóstwa, prostytucji, pornografii. Jestem po prostu nieco nostalgiczny. Co łatwo można zauważyć oglądając taki film jak „Manhattan”.

— Czy jest Pan może utajonym konserwatystą?

— O nie! Jestem liberalnym członkiem demokratów. Dla poprzedniego burmistrza Nowego Jorku Johna Lindsaya pisałem na-

nie myśl o tym. Większość ludzi żyje po prostu ponad tym.

— Ale przecież nie mamy wyboru. Kiedy zaś użyjemy życia to myśl o śmierci nie będzie już tak mocno deprymująca?

— Dla mnie będzie zawsze deprymująca. Nigdy nie mogłem znaleźć takiego stosunku do życia, jak ci, o których mówię.

— Czy to oznacza, że powinno się konsekwentnie powtarzać: nie widzę sensu w życiu, więc po co żyć?

— Macie na myśli samobójstwo?

— Tak.

— O, tu łatwo się pośliznąć. To jest coś takiego, przed czym należy się bronić. Jedynym wyjściem, to stawić czoła życiu, mimo wszystko akceptować je.

— Czyli mała nadzieja?

— Tak. Chodzi o to, by móc powiedzieć: w porządku, mimo wszystko chcę żyć dalej, gdyż... Nie wiem jak dokończyć to zdanie. Stale poszukuję zakończenia tej myśli.

— Czy myślał Pan o tym by zrobić film o obozie koncentracyjnym?

— Zawsze mnie to interesowało. Rozmawiałem z wieloma byłymi więźniami, dużo czytałem na ten temat. Ale nie miałem nigdy takiego pomysłu, który wystarczyłby mi na cały film.

— Z pewnością nie jest to temat na komedię?

— W każdym razie nie na taką z głośnym śmiechem. To byłby raczej bardzo smutny film, być może z kilkoma elementami komediowymi, które wówczas prawdopodobnie miały miejsce. Z pewnością nie będzie to łatwe. Dobrym tematem byłoby na przykład warszawskie getto. Myślałem już o tym. Ale jak powiedziałem, niechętnie wyjeżdżam.

— Czy podobają się Panu Pańskie filmy?

— Nie. Mam zawsze złe samopoczucie. Kiedy zobaczyłem gotowy „Manhattan” zawałem mojego menedżera i powiedziałem: Zawiadom centralę rozpowszechniania by zaprzestano rozprowadzania tego filmu. Z powodu strat finansowych nakręcić dwa najbliższe filmy bez gaży. A on na to: Chyba zwariowałeś! Potem pokazał mi film parulidziom. Wszystkim się bardzo podobał. Gazety donosiły o nim na pierwszych stronach. Krytycy pisali o nim jako o najlepszym filmie od lat — no to po cichu się wycofałem i zamknąłem bież.

Na podstawie „STERNA” opracowała: Jolanta Herian-Ślusarska

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 3)

powiada z uśmiechem Sumantra. No, no, myślę sobie z podziwem, rządzić w takim gąszczu skomplikowanych problemów społecznych, gospodarczych, przeciwnych interesów, o których opowiadają nasi kalkucy przyjaciele, w sytuacji, w której nawet szczyry mogą być przyczyną poważnego konfliktu społecznego i to rządzić z sukcesami już trzecią kadencję to nie lada sztuka. Towarzysze Jyoti Basu, premier i szef lewicowej koalicji rządzącej w Bengalu Zachodnim, musi być politykiem wielkiego formatu. Skądinąd szacunek dla życia jest chyba najsympatyczniejszym rysem hinduskiej kultury. Pozwolić żyć. Po Kalkucie waleją się setki bezpańskich psów. Nie wyglądają ani na nieszcześliwych, ani zagłodzonych, wyjąwszy chore. Nikt się nimi nie przejmuję, ale też nie widziałem żeby ktokolwiek robił im krzywdę, kopnął, rzucił kamieniem, czy coś w tym rodzaju. W nadmorskiej miejscowości Dhiga przegladam się imponującym drapieżnym ptakiem nazywanym tu morskimi sokolami. Mieszkańcy zadają sobie wiele trudu, aby siatkami i klatkami ochronić hodowane przez siebie ptaćtwo domowe. Nikomu nie wpada do głowy, że można byłoby pozbýć się kłopotu zabijając drapieżniki. Niechaj sobie żyją, skoro ludzom bezpośrednio nie zagrażają. Myślę, że to piękne.

*
Pani Tharma Bohattacharya, mama Sumantry wydaje obiad na naszą część. Zebrało się kilka osób z najbliższej rodziny. Szokujemy ich nieco polską galanterią całując panie w rękę. Z kolei nas szokuje to, że podawany obiad panie stają za krzesłami, po czym, po odejściu mężczyzn od stołu same posilają się tym, co zostało. Pani Tharma jest w ogóle znaną bojowniczką o prawa kobiet i sekretarzuje ich bengalskiemu związkowi. Pewnie siła obyczajów, bo w tej akurat rodzinie o dyskryminacji kobiet trudno mówić.

Wszyscy obecni są działaczami partii, więc rozmowa znowu obraca się wokół polityki. Nieco już tym znudzony zabieram się wraz z Tanją młodą, piękną kuzynką Sumantry do oglądania albumów ze zdjęciami Polski i Krakowa wyciągniętymi z półki przeznaczanej na pamiątki. Dopóty nie skąd to nie wykryłem imię, chociaż wiem, że w Indiach i to nie tylko w kręgach lewicy, Związek Radziecki i jego kultura cieszy się od dziesiątków lat niesłabnącą sympatią.

*
Towarzysze z Komitetu Stanowego partii dopytują się czy chcielibyśmy może zobaczyć wieś bengalską i zapoznać się z pracą partii w terenie. Oczywiście chemy. Nie jestem pewien czy zgodzilibyśmy się, gdybyśmy wiedzieli, co nas czeka. Wielokrotnie, na wszystkie sposoby podkreślaliśmy przecież prywatny charakter naszej wizyty, ale w Komitecie Stanowym zapewne opowiadają przed inteligentów, uznali naszą profesję, wykładówców nauk politycznych, za wystarczający powód do zorganizowania tej wyprawy tak, jakbyśmy byli oficjalnymi gośćmi i to wysokiej rangi.

Dziś, z pewnej perspektywy, ta podróż do Kharampur w okręgu Basirhat tuż przy granicy z Bangladeszem, wydaje mi się i sympatyczna i pożyteczna. Wtedy jednak,

szczerze mówiąc, byłem zażenowany przesadą w przyjmowaniu nas aż z taką pompą. Wyjechaliśmy spod Komitetu Stanowego, mieszczącego się w nieporządnej kamienicy w centrum miasta, w towarzyszącym profesorowi Jyoti Prakash Chattopadhyaya, szefa wydziału nauki oraz dziennikarzy z miejscowej gazety komunistycznej „Kalanar”.

Kilkugodzinna droga minęła niepostrzeżenie, wypełniona oglądaniem krajobrazu i rozmową z profesorem — politologiem, nadzwyczaj interesującym człowiekiem o

wszczęstnionych zainteresowaniach. Skreślił mi w boczną drogę i po chwili byliśmy na miejscu. Na palmach wzdłuż drogi rozwieszono czerwone sztandary i transparenty. Z niepokojem prawie myślałem, że pewnie będziemy nieproszeni gośćmi, przeskadzającymi w jakimś lokalnym święcie. Dla dodania sobie animuszu, i niby dla dowcipu, powiedziałem do kolegi — popatrz te transparenty rozwieszono pewnie na naszą część. No i właśnie. Zatrzymała nas grupa ludzi. Na proździe Goj Sardar, przywódca miejscowej młodzieży komunistycznej. Powitał nas orzechami kokosowymi, mniej więcej tak, jak u nas wita się chlebem i solą. Serdeczna rozmowa. Idziemy na plac przed budynkiem zarządu cegielni, gdzie przygotowane oficjalne powitanie. Malownicza polna droga wzdłuż pól ryżowych i z rzadka rozsiadanych grup domostw. Zasiadamy wraz z grupą lokalnych działaczy partyjnych za długim stołem zastawionym owocami i słodyczkami. Po prawej stronie placu usadowił się tłum mężczyzn, po lewej kobiety i dzieci. Przemówienie powitalne wygłosił sekretarz Komitetu Okręgowego partii Gobinda Deb. Zabieramy głos i rozpoczyna się coś w rodzaju ogólnej rozmowy, przy czym publicznie odpowiadamy na zadawane nam pytania. Ku naszemu zaskoczeniu dotyczą one głównie problemów obyczajowych. Pytają m. in. o pozycję kobiety w Polsce. Wskazujemy na wysoką aktywność zawodową kobiet, praktyczną rolę w życiu społecznym, a przy tym na zachowanie tradycyjnych przywilejów towarzysko-obyczajowych, co rzadko się zdarza, bowiem normalnie z postępną emancypacją idzie w parze zanik rycerskości wobec pań i erozja męskiego poczucia odpowiedzialności za rodzinę. Tu w Bengalu, gdzie kobieta w hierarchii wartości była zawsze na drugim miejscu, jeśli nie na trzecim po zwierzyźnie domowej, odpowiedź nasze wzbudza aprobatę z lekką domieszką niedowierzania. Nie ma natomiast kofca zdziwieniu, kiedy mówimy, że ustrój socjalistyczny w Polsce nie wpłynął decydująco na kształt stosunków międzyludzkich w pracy, w miejscu zamieszkania i nie wyeliminował plag społecznych.

Na tym nie koniec przyjeżdża. W siedzibie państwa, czyli odpowiednika naszej władzy gminnej, czeka na nas uroczysty obiad. No, więc idziemy. Formuje się pochód. Na czele miejscowi szefowie partii i my, pod czerwonymi

sztandarami i transparentami, a za nami ponad tysiąc ludzi. Ogarniające mnie uczucie surrealizmu narasta gwałtownie. Bo też faktycznie, proszę sobie wyobrazić dwóch osobników z Krakowa, którzy ni stąd ni zowąd maszerują szeroka między wśród pól ryżowych, jakieś 10 km od granicy Bangladeszu, a za nimi tłum bengalskich chłopów skandujących hasła na cześć Komunistycznej Partii Polski (tak tu nazywają PZPR), polskich przywódców partyjnych, rewolucji światowej etc. etc. Zatrzymują nas miejscowe kobiety, mają nam czoła

mówi tow. Mukerjee. W pewnym momencie mówię z podziwem o orientacji, jaką w sprawach polskich wykazują miejscowi politycy. W odpowiedzi słyszę, że rzeczywiście starają się pilnie śledzić wydarzenia w ruchu komunistycznym. Mają tu w Indiach inne warunki, każdy członek partii musi być agitatorom obecnym z polityką. Musi dawać sobie radę, środkami politycznymi, z propagandą prasy burżuazyjnej. Muszą znaleźć odpowiednie kontrargumenty, muszą więc dobrze orientować się w wydarzeniach politycznych w świecie.

Czas kończyć przedłużającą się rozmowę, zwłaszcza, że na dole czeka samochód, żeby zawieźć mnie na kolejną wizytę. Wchodzę do obszernego gabinetu. Przyglądam się uważnie człowiekowi wychodzącemu za biurka. No tak, przecież to profesor Nirmal Bose, trochę przytyły, ale to on oczywiście. Poznaliśmy się na konferencji „Polish Round Table” w Krakowie, siedem lat temu. Nie przypuszczałem, że jest także politykiem, członkiem Biura Politycznego lewicowego „Bloku Postępowego” i ministrem z jego ramienia. Dopóty nie o pomnanych w Krakowie polskich politologów, profesorów: Wiata, Pastusiaka, Opalka i innych. Rozmowa przekształca się w serdeczne wspominki. Po pewnym czasie profesor patrzy na zegarek, za 15 minut rozpoczyna się posiedzenie Zgromadzenia Narodowego. Ma odpowiadać na interpelację i musi w tym posiedzeniu uczestniczyć. Pyta czy nie chciałbym zobaczyć, jak wygląda praca parlamentu, będąc gościem speakera Zgromadzenia, czyli po naszymu marszałka Sejmu. Chcę oczywiście. Nie byłbym politologiem, ani nawet dobrym turystą, gdybym nie chciał. Jadę rządowym samochodem. Budynek parlamentu oglądam z zewnątrz kilka dni temu. Wewnątrz jest równie elegancki.

Otrzymuję plik papierów odnoszących się do spraw będących przedmiotem obrad. Wchodzimy. Wskazują nam miejsce w łożu honorowej. Przestronna sala, sklepiona piękną kopułą. Straż marszałkowska ubrana na biało, w czerwonych turbanach. Uroczystość. Posiedzenie zaczyna się od interpelacji. Z ław prawicowej opozycji podnosi się młody człowiek, najmlodszy, jak się dowiaduję i najbardziej dynamiczny z posłów. Wypytuje ministra przemysłu, kiedyż to wreszcie komunistyczny rząd zdecydował się na nacjonalizację dwóch, tu wymienia ich nazwy, zakładów przemysłowych. Ich niewłaściwe kierownictwo prowadzi prosto do bankructwa i bezrobocia kilku tysięcy ludzi. Ministra turystyki pyta, nieco złośliwie, bo Hindusi nie piją, czy ma plan wyposażenia wszystkich państwowych hoteli i domów wczasowych w bary z wyszynkiem alkoholu i w jakim procencie plan ten już wykonał. Ożywienie wywołuje pytanie do ministra informacji: ile to rząd wydaje na reklamę swoich prac w prasie. Minister wymiuguje się od odpowiedzi, ku żywemu niezadowoleniu całego parlamentu. Pośel z własnej partii ministra krytycznie ocenia odpowiedź, ale jakby dla równowagi domaga się podania, ile z tych pieniędzy idzie do kas pism burżuazyjnych itd. itd.

Patrzę i słucham zafascynowany. Niestety muszę wyjść — to ostatni dzień w Kalkucie. Trzeba załatwić kilka spraw, kupić pamiątki, zostało mało czasu.

Waldemar Bujak

Lek GENOWEFIE HEJNY-GRYGA

Kierownikowi Miejskiej Przychodni Rejonowej Nr 1 w Łanowie składamy wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Dyrekcja i pracownicy Zespołu Opieki Zdrowotnej w Limanowej

Mgr inż. JANOWI PLACIE

Dyrektorowi KZZ „Herbapol” składamy wyrazy głębokiego współczucia i żalu z powodu śmierci

Samorząd Pracowniczy, POP PZPR, Związek Zawodowy KZZ „Herbapol” oraz pracownicy

Mgr inż. ZBIGNIEWOWI RACONOWI

Dyrektorowi Rejonu Dróg Publicznych w Nowym Sączu składamy wyrazy serdecznego współczucia i żalu z powodu śmierci

Pracownicy Rejonu Dróg Publicznych w Nowym Sączu

SPRZEDAŻ

FORD Sierra LUX D, nowy — sprzedam. Tarnów, tel. 62-33, wieczerem. T-43771

2400 pustaków oświejskich — sprzedam. Oferty 55016 „Prasa” Kraków, Wiśna 2.

PERKUSJE używane — sprzedam. Tel. 44-07-93, godz. 9-11.

Przedsiębiorstwo Handlowo-Usługowe „JUBILER” w Krakowie

ZAPRASZA

do swojego ZAKŁADU JUBILERSKIEGO NR 3105 PRZY UL. KAZIMIERZA WIELKIEGO 22, polecającą szybką i solidną naprawę oraz wykonanie BIZUTERII ZŁOTEJ, z powierzonym materiału. Zakład dysponuje również dużym wyborem kamieni naturalnych i syntetycznych.

K-552

LAKIERY samochodowe

syntetyczne i akrylowe, pełny zestaw kolorów, najwyższa jakość „Centarli” — podkłady — szpachlówki — rozpuszczalniki



O R A Z

lakiery ogólnego zastosowania — do drewna (parkiet, boazerie) — metali — tynków

oferuje

za waluty wymienialne PHZ „DYNAMO” Kraków, ul. Królowej Jadwigi 244 tel. 22-20-11, wewn. 231

BIURO USŁUG TURYSTYCZNYCH „DUNA JEC”

WŁODZIMIERZ ADAMEK-MACIEJ ZAREMBA, 33-300 Nowy Sącz, ul. św. Heleny 10, tel. 238-22

poszukuje

KWATER PRYWATNYCH

o wysokim standardzie na organizację wczasów rodzinnych

Nowo powstałe z dniem 1 stycznia 1985 r. Miejskie Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane Szkół w Tarnowie, ul. Franciszkańska 8,

ZATRUDNI

w Przedsiębiorstwie i w Zakładzie Prefabrykacji Betonów w Tarnowie-Świerczkowie NASTĘPUJĄCYCH PRACOWNIKÓW:

- ◆ MURARZY
- ◆ POMOCCNIKÓW MURARZY
- ◆ BLACHARZY-DEKARZY
- ◆ BETONIARZY
- ◆ ELEKTRYKÓW
- ◆ ŚLUSARZY-MECHANIKÓW
- ◆ KIEROWCÓW
- ◆ MECHANIKI SAMOCHODOWEGO ORAZ
- ◆ GŁÓWNEGO MECHANIKA
- ◆ INSPEKTORA DS. ZAOPATRZENIA
- ◆ KIEROWNIKA lub MISTRZA robót wod.-kan., c.o. i gaz.

Szczegółowych informacji udziela i zgłoszenia przyjmują Dział Kadr, Tarnów, Franciszkańska 8, tel. 66-30.

Waldemar Bujak

O PRZYPRAWACH ZIOŁOWYCH

Wszelkiego rodzaju przyprawy ziołowe przechowujemy w pojemniczkach szklanych, szczelnie zamkniętych. Najlepiej, by były to słoiczki ze szkła zielonego lub brązowego. Znakomicie nadają się do tego celu pojemniczki wykonane z fajansu czy porcelany, ale pod warunkiem, że ich zamknięcie jest szczelne.

Na każdym pojemniczku przyklejamy karteczkę z nazwą ziół i datą ich zakupu.

Jeśli mamy zioła zmieszane, mieszaninę przyprawową rozdrobnioną — przechowujemy je nie długo, nie rok (tak jest termin ich ważności). Chronimy przed wilgocią i dostępem powietrza.

Zioła są wspaniałym dodatkiem do wszystkich potraw, ale trzeba je stosować z umiarem, tak, by podkreślić smak a nie zmienić go.

Stosowanie ziół przyprawowych jest sztuką, której trzeba się nauczyć. Najpierw przyprawiamy twarog, pasty z jaj, salatkę. Potem stopniowo, w miarę zdobywania wiedzy, dodajemy ich do najbardziej skomplikowanych potraw.

Zioła, przed dodaniem do potrawy, należy rozkruszyć i rozetrzeć w dłoniach, aby wydobyć ich aromat. Lubczyk dodajemy w ilości 1 i usuwamy, gdy danie jest gotowe.

Przyprawy o zdecydowanym aromacie (majeranek, tymianek, bazyli, cząber) dodajemy ostrożnie. Dodajemy je na pięć minut przed ukończeniem gotowania.

Inne zioła suszone zazwyczaj dodaje się na kwadrans przed zakończeniem gotowania.

Stosując przyprawy ziołowe, zawsze zapamiętajmy się najpierw z właściwościami danych ziół: dla kogo wskazane, dla kogo nie, do jakich potraw się nadają, kiedy je dodawać, aby uzyskać najlepszy smak i zapach potrawy.

RADY, KTÓRE MOGĄ SIĘ PRZYDAĆ

Jeśli kwiaty doniczkowe mają zbyt wydłużone liście i łodygi — znaczy to, że brakuje im światła. Musimy więc przenieść je bliżej okna.

Jeśli kwiatki podlewamy zbyt obficie — gniją im korzonki i łodygi. Nie pozostaje nic innego, jak przesadzić roślinę, usuwając uszkodzone części. Robimy to szczególnie ostrożnie, bo, jak wiemy, kwiatów w ziemi przesadzać nie należy (chyba że jesteśmy w sytuacji przymusowej).

Nasza roślinka ma dużo światła i wystarczającą ilość wilgoci, a jednak marnieje. Może trzeba ją przenieść w miejsce mniej nasłonecznione?

Rośliny doniczkowe w ziemi podlewamy regularnie, ale nie zbyt obficie.

Spróbuujemy je co tydzień letnią wodą.

Nawilżamy powietrze w mieszkaniu, nie zapomniamy o uzupełnianiu wody w parownikach na kaloryferach.

Emaliowane garnki czyszcimy wodą z dodatkiem sody. Nigdy nie wlewamy gorącego płynu do zimnego naczynia ani nie używamy do mycia ostrych myjek zrobionych z drutu bo to bardzo niszczy emalię.

Jaja ugotowane na twardo najszybciej i najłatwiej obrać pod strumieniem zimnej wody.

Kaloryfery lepiej ogrzać nasze mieszkanie, jeśli na ścianę za kaloryferem naklejmy folię metalową.

Unikniemy zagniecia na spodniach sztruksowych, jeśli będziemy je prać odwrócone na lewą stronę.

Szyby w oknach nie będą zamazane w czasie mrozów, jeśli zostaną przetarte spirytusem denaturowanym z dodatkiem kilku kropel glicerynu.

Zakrętka na tubce łatwo się otworzy, jeśli włożymy ją na chwilę do gorącej wody.

WYNALAZKI TAKIE MAŁE

Widziałem podobno używała już w XI wieku córka króla z bizantyjskich cesarzy, w średniowieczu znany był na dworach włoskich, a w wieku XVII przewieziony został do Anglii, gdzie wzbudził niechęć, bo

przecież „palec wynaleziony został przed widelcem, a ręce — przed nożem”. Panowała też przekonanie, że używanie „widelki” nie przystoi mężczyźnie. Powożenie widelce został przyjęty dopiero pod koniec XVIII wieku.

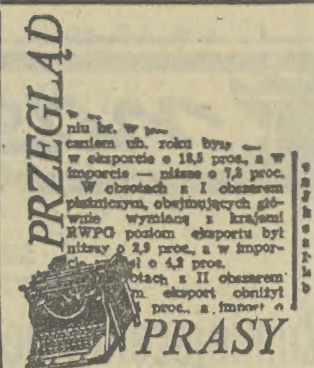
Łódźka opatentowana została w USA, w 1834 roku. Łódźka w dzisiejszej postaci zrodziła się w Szwecji, w 1926 roku.

ZAPIEKANKA BARDZO SMACZNA

Do 10 dag słoninki pokrojonej w kostkę i stopionego dodajemy dużą, pokrojoną cebulę, gdy cebula zacznie się rumienić dodajemy 1/2 kg kiszonej kapusty i dwa duże winne jabłka, obrane i podzielone na osiem części. Kapustę dusimy do miękkości, jeśli trzeba — dolewamy wody, gdy jest miękka posypujemy ją drobiną pieprzu. Formę do zapiekanki, lub odpowiedni rondel smarujemy tłuszczem, wkładamy połowę kapusty i układamy na niej 1/2 kg filetów z morskiej ryby (filety oczywiście muszą być bez ości), podzielonych na części. Oprószyć je solą i papryką, przykrywamy pozostałą częścią kapusty. Całość polewamy kwaśną śmietaną, posypujemy tartą bułką, kładziemy na wierzchu kilka wórków masła. Rondel wstawiamy do dobrze nagrzanego piekarnika na 45 minut. Podajemy z ziemniakami.

SMACZNEGO!

(LE)



NASZA DROGA DO SUKCESU W TECHNICIE

Musi istnieć „polska droga” do sukcesów technicznych — stwierdza „POLITYKA” przy okazji rozmowy z doc. dr. hab. Konradem Tottem, który obaj niedawno stanowisko rządowego koordynatora postępu naukowo-technicznego w chwili, gdy tak zieleń sytuacji w zakresie innowacji, jak obecnie, w kraju jeszcze nie było.

„Jeśli kogoś interesuje moja dusza, to jest to dusza człowieka, który nade wszystkim cent sobie wyznaczył — Mur nieufności między przemysłem i instytucjami, która będzie wyburzona w całej polskiej gospodarce”.

DYREKTORZY I INŻYNIERZY

Pozostając przy temacie: nauka i praktyka, polecamy lekturę artykułu Bonawentury Kaisera w „TU i TERAZ”, którego fragment cytujemy: „Spora część dotychczasowej współpracy pomiędzy nauką a przemysłem wynikała z ambicji kierowników przemysłu, którzy w ramach tej współpracy »robili« przy okazji: doktoraty i habilitacje. Powiększając potem szeregi biurokratycznych inżynierów — tym groźniejszych, bo ze stopniami, bądź tytułami naukowymi”.

STARA EUROPA

„ZDANIE” (nr 1) dużo miejsca poświęca problemom Europy ogólniejszej z różnych stron. Centralne miejsce zajmują dyskusja na temat politycznych, ewangelizacyjnych i kulturalnych funkcji naszego kontynentu z udziałem m. in. Michała Dobroczyńskiego, Janusza Symonidesa, Ryszarda Wojny.

Niedawno odbył się w Szczecinie Kongres Kultury Języka Polskiego. „Zdanie” drukuje jeden z referatów: W. Lubasia „Społeczne uwarunkowania rozwoju dzisiejszej polszczyzny”, wychodzący z założenia, że za tym wszystkim, co odbieramy jako nieporozumienie językowe, nieznajomość poprawnej polszczyzny lub jej zbiorowoczenie, kryje się ulomny styl myślenia, prymitywna kultura duchowa, bardzo uproszczona wizja ludzkiego świata.

JALTA —

OD STRONY REALIÓW Prof. Włodzisław Kowalski w „ARGUMENTACH”: „Opowiadanie, że w Jale po podziale Europy jest opowiadaniem bajek dla naiwnych”. Od podpisania komunikatu jaltńskiego (4 lutego 1945) minęło właśnie 40 lat. Sprawa jest przedmiotem licznych komentarzy prasowych (m. in. w „Rzeczywistości”) Konrada Krzyżanowskiego zat. „Precz z Jaltą!”.

40 LAT INSTYTUTU ZACHODNIOGO W POZNANIU

„W „Przekroju” korespondent Leszka Mazana. W Instytucie mówią: „Chcemy utrzymać społeczeństwo w świadomości, czym byli dla nas ziemie zachodnie, jak trudno przyszło zespławić je w jedną integralną całość z resztą kraju. Chcemy również przypominąć, że nasza granica zachodnia jest i będzie na pewno przedmiotem kontrowersji i tematem rewizjonistycznych roszczeń. To smutno, ale tak to wygląda”.

ROZWÓD PO POLSKU

Elżbieta Samoraj w „PRZEGŁADZIE TYGODNIOWYM” bierze pod lupę ten kawałek wspólnego życia, który znajduje finał w prawie rozwodowym: „Ludziom naprawdę trudno dokonać wyboru, jak żyć. Nie umiemy postępować, nie wiemy często co dobre co złe, co ważne a co bez znaczenia. Nie potrafimy kochać. Chcieliby z pewnością żyć szczęśliwie, mądrze i godnie, ale brak im wyobraźni, wiedzy i umiejętności. Brak im także — i to jest chyba najmniejszą — chęci uczenia się tego wszystkiego we wspólnym życiu”.

PONADTO PRZECZYTAŁYŚMY

Magazyn Ilustrowany SMAGIENIE Turystycznym „ŚWIATOWID” wywiad z P. Szymańskim, wiceprezidentem OPZZ („Nie mamy zamiaru przynajmniej FWP i jego majątku. Chodzi nam tylko o związkowy nadzór nad tą firmą”) • W „ZYCIU LITERACKIM” relacje z wrocławskiego procesu o 80 milionów b. „Solidarności” • W „ITD” rozmowa z Romanem Bratnym („Bo w Polsce romantyzmem nazywa się głupota po prostu”) • z ministrem finansów S. Nieckarzem o naszej obecności w MPW rozmowa „PRZEGŁAD TYGODNIOWY” • tamże zwierzenia Doroty Tłakówny: „Mam czas na wszystko. — Na przyjaźń, na miłość również”. Oczywiście. — I jest ktoś taki? — Pewnie, że jest!”.



Nr 97

TO
i
OWO

WIDZIEĆ...

W czasie opadów atmosferycznych, zwłaszcza śniegu zimą, szczególne znaczenie dla bezpieczeństwa jazdy ma właściwa widoczność przez przednią szybę. Logicznym tego następstwem winno być właściwy stan wycieraczek, które winny ścierać z szyby warstwę wody, błota czy śniegu, a nie rozmazywać jej na szybie. Nie wszyscy jednak właściciele polskich samochodów zdają sobie sprawę, że dodatkowo można poprawić widoczność.

W tym celu w samochodzie „fiat 126p” trzeba zastosować pióro wycieraczki z samochodu „polonez”, które jest dłuższe. Usprawniło w ten sposób można lewą wycieraczkę i wówczas znacznie powiększy się odgraniczone pole szyby. Pióro wycieraczki od „poloneza” kosztuje 380 zł.

Również w „fso 1500” i w „fiacie 125p” można poprawić widoczność przez przednią szybę, choć jest to zabieg nieco kosztowniejszy. Też należy użyć pióra wycieraczek od „poloneza” (2x380 zł), lecz należy je zakla-

jest gorzej dostrzegalny dla innych użytkowników jezdni.

Kto ma skodowane odbłyśniki reflektorów i decyduje się na ich wymianę powinien uczynić to właśnie teraz, a nie czekać do wiosny. Wszak obecnie przez większą część doby należy jeździć z włączonymi światłami. A nie jest to wydatek znaczny — reflektor do 126p kosztuje 650 zł, do „fso 1500” — 800 zł, ale same wkłady optyczne reflektorów do „fso 1500” kosztują po 300 zł/szt. zewnętrzne i po 370 zł/szt. wewnętrzne.

UWAGA! Zarówno reflektory, jak wkłady optyczne oraz pióra i ramiona wycieraczek, o których dzisiaj pisaliśmy, można nabyć w stoisku motoryzacyjnym Domu Handlowego WANDA w Nowej Hucie, w os. Na Lotnisku.

Pelnawartościowe części z nadmiernych zapasów

Ogromną radość motoryzacyjnym majsterkowiczom sprawiła Spółdzielnia GROMADA otwierając przy pl. Nowym 4 w Krakowie sklep przyspółdzielczy, w którym znalazły się m. in. pełnowartościowe części pochodzące z przepelnionych ma-

Miniony rok przyniósł kolosalne osiągnięcia w dziedzinie medycyny, które pozwalają oszczędzić cierpienia wielu chorym. Lekarze znaleźli antydotum na migrenę, alergię, próchnicę zębów itd. W nowy rok wchodzimy z oczekiwaniem na następne zwycięstwa nauki. Oto informacje uzyskane na kongresach medycznych we Francji przez redaktorkę „Elle” — Ghislaine Andreani.

1. OGNIOWY PRZECIWBOŁOWE

(przeciw migrenie, reumatyzmowi i bólowi)

Nowość polega na zastosowaniu stymulacji elektrycznej. Za pośrednictwem ciętych elektrod przykrojonych do skóry w miejscu bólu i stymulatora wielkości pudełka papierosów przesyłane są prądy elektryczne o niskim napięciu, które pobudzają włókna nerwowe chorej okolicy przewodzące impulsy bólu, zamykając im dopływ. Ponadto stymulacja ta zwiększa wydzielanie endorfin (naturalnych substancji produkowanych przez mózg, posiadających działanie przeciwbólowe). Doskonałe rezultaty osiągnięto w przypadku bólów kostno-stawowych, niektórych rodzajów migreny, reumatyzmu, przypadków uszkodzonego nerwu, pólpaści.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat powstało na świecie wiele centrów antybołowych (w tym 4 we Francji, jedno w Polsce) założonych w celu zwalczania bólów chronicznych wszelkiego rodzaju, a przez to ulżenia przewlekłym chorym.

2. OPERACJA KATARAKTY W CIĄGU 15 MINUT, WYLECZENIE W CIĄGU 24 GODZIN

Aż do chwili obecnej leczenie katarakt (zmętnienie soczewki oka), która upośledza widzenie (obniża ostrość wzroku), wiązało się z koniecznością interwencji chirurgicznej z zastosowaniem hospitalizacji, anestezji ogólnej, nacięcia rogówki, usunięcia soczewki oka, założenia wszczepu (sztucznej soczewki).

Lecząc kilka miesięcy temu pewien chirurg okulista z Nicei na Łazurowym Wybrzeżu zastosował po raz pierwszy we Francji sondę na ultradźwięki przewidzianą ze Stanów Zje-

SIEDEM nowych OSIĄGNIĘĆ medycyny

kwadrans, a już po dwudziestu czterech godzinach pacjent opuszcza klinikę.

W Stanach Zjednoczonych skonstruowano do tej pory ponad 1500 takich aparatów, w Japonii — 300, w Europie Zachodniej (RFN, Włochy) — 100.

3. BEZBOLESNE LECZENIE ZĘBÓW PRZY POMOCY LASERA I ULTRADŹWIĘKÓW

Kilkanaste lat temu laser zrewolucjonizował chirurgię, stopniowo wkraczając w 1960 roku do coraz to nowych dyscyplin medycyny, jak okulistyka, ginekologia, dermatologia, laryngologia itp. I oto teraz został zastosowany w chirurgii dentystrycznej do oczyszczania zębnego zębów i niektórych ognisk zapalnych. Tego rodzaju leczenie ma wiele zalet: jest bezbolesne, aseptyczne, odkażające — głębokie, zabliznianie się — doskonałe; następuje stopniowe wyleczenie.

Na razie zastosowanie lasera ogranicza się do niektórych poważniejszych zmian chorobowych, lecz ten wynalazek techniczny rozpoczął dopiero swoją karierę i mówi się, że w najbliższej przyszłości przyczyni się do znacznego postępu w leczeniu zachowawczym zębów. Inną nowością są ultradźwięki. Zamiast sławnego

4. NIEZAWODNY TEST DO DIAGNOZOWANIA ALERGIJ ODDECHOWYCH

Alergie znają znużającą procedurę poszukiwania alergenów — czynnika odpowiedzialnego za ich atak. Otóż od 1982 roku zaczęto w USA posługiwać się mikrokomputerem, który potrafi postawić diagnozę alergii bez przeprowadzania testów skórnych. Po zwykłym pobraniu krwi — w przeciagu pięciu godzin pomaga on ustalić, na co pacjent jest uczulony.

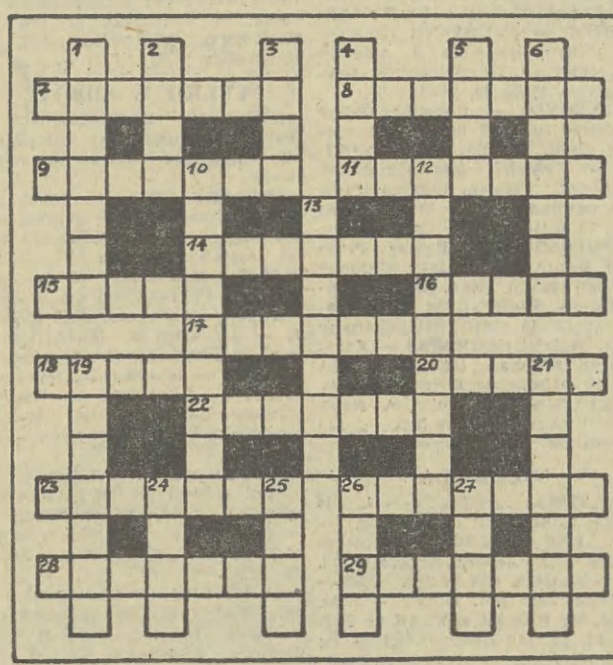
Zastosowanie tego przyrządu wprowadza znaczne ułatwienia w trzech dziedzinach: laboratorium pozwala uniknąć niepotrzebnej straty czasu, lekarzom — postawić szybką diagnozę, gdyż przypuszczenia wynikające z wywiadu z pacjentem i podręczna lista alergenów (wykazem obejmuje już przeszło sto alergenów: pyłków kwiatowych, kocięcej sierści, kurzu, pleśni, pożywienia...) w nlecałe pięć godzin od pobrania krwi pozwala im zastosować bardziej ukierunkowane leczenie. Trzeci korzyść to możliwość wykrycia alergenów u noworodków. Wystarczy pobrać kilka kropli krwi z popowinny i dodać wskaźnik przeciwciał (I.G.E.), aby móc stwierdzić, czy dziecko jest alergiczne, a jeżeli tak, natychmiast przedsięwziąć odpowiednie środki.

W obecnej chwili metoda ta jest pomocna w doskonalym diagnozowaniu alergii oddechowych, a tym samym wpływa na przyspieszenie leczenia. Przyszłość pokaże, czy ten test może w przypadku niektórych rodzajów alergii zastąpić możliwe skaryfikacje (nacięcia, nakłuwania) skóry.

KRZYŻÓWKA

Nr 4

Poziomo: 7. Inaczej kłmka, 8. dowódca chorągwi krakowskiej pod Głównym, 9. rzeka — symbol nieodwołalnej decyzji, 11. bitwa, rozgrywka, 14. słynny krytyk malarz, 15. powozowy budynek parterowy, 16. rzeka w Austrii, prawy dopływ Dunaju, 17. miasto i port w Grecji, antyczne kopalnie srebra, ruiny świątyni Posejdon, 18. jedna z Wysp Jońskich w pobliżu Grecji, 20. okragły obraz, 22. przemysłowe miasto w NRD, 23. utraciła, hulaka, 26. węgierski kapus, 28. sprzeż, 29. inaczaj racznik, roślina oleista.



Pionowo: 1. baranek na niebie, 2. ważne urządzenie stożkowe, 3. wybitny, współczesny pisarz niemiecki (Nagroda Nobla), 4. miejsce dla windy, 5. główna myśl utworu, 6. król i dama w tym samym kolorze, 10. wynik rozmowy, wniosek, 12. kaskiwy pajak, żyje w pld. Europy, 13. górskie obuwie, 19. wielki książę litewski, ojciec Jagiellów, 21. niewymowne z francuska, 24. psycha, hardość, 25. znany, jugosłowiański mab stanu, 26. sztruks lub krótki miecz, 27. klasownice narzędzie.

Rozwiązania prosimy nadsyłać w terminie do dnia 9. II. 1985 r. (decyduje data stempla pocztowego) z dopiskiem na kopercie: „Krzyżówka nr 4”. Wśród czytelników, którzy nadesłali prawidłowe odpowiedzi, redakcja rozlosuje nagrody w postaci 10 książek.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 2

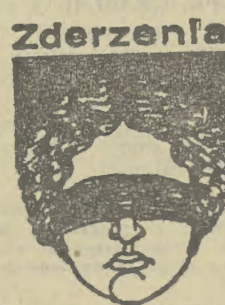
Poziomo: 7. Russel, 8. Abwehra, 9. atrybut, 11. ordalia, 14. Nemezis, 15. bańki, 16. piarg, 17. Opoczno, 18. masyw, 20. tajga, 22. saperzy, 23. bambino, 26. demobil, 28. chelbiza, 29. natrysk.

Pionowo: 1. ruptura, 2. ostry, 3. blat, 4. sago, 5. beta, 6. arbiter, 10. Benlowski, 12. despotyzm, 13. felcer, 19. atache, 21. geniusz, 24. Bët, 25. osad, 26. dong, 27. Obrá.

NAGRODY WYLOSOWALI

Za prawidłowe rozwiązanie zadań w krzyżówce nr 2, z 1985-01-19/20 książki otrzymują: W. Kuca — Krzeszowice, M. Powroźnik, M. Zieliński, J. Komorowski, A. Galka — Kraków, M. Gdowska — Łęgowice, M. Kryńska, A. Stasior — Tarnów, A. Fint, A. Palij — Nowy Sącz.

Nagrody przesłany pocztą.



z Temidą

Dokładnie przed rokiem w Dobczycach w pobliżu restauracji „Pod zamkiem” odkryto zwłoki Mieczysława N. Na ciele denata, a zwłaszcza na głowie, odkryto kilka ran zadanych kamieniem. Nie te rany jednak stały się bezpośrednią przyczyną śmierci N. Przeprowadzona sekcja zwłok wykazała, że Mieczysław N. znajdował się w stanie nietrzeźwym, a po domniemaniu obrażeń stracił przytomność. Pozostawiony tak (zdarzenie miało miejsce w lutym przy minusowych temperaturach) stracił życie przez zamarznięcie.

Wszystkie wyżej przedstawione okoliczności wskazują, że mogły na piątkową burzę, w wyniku której jeden z jej uczestników poniósł śmierć. W końcu takich przypadków zdarza się niewiele i mimo tragicznych skutków nie są specjalnie bulwersujące. Ot, jeden pijanek za mocno uderzył szczygła. W Dobczycach jednak zwrócono uwagę na szczegół nie pozwalający zakwalifikować śmierci Mieczysława N. jako skutku nawalety czy bójki. Oto ciało denata było częściowo obnażone i to w taki sposób, iż usprawnione było podejrzenie o... seksualne podłożo zdarzenia.

Do tego, że kobiety stały się przedmiotem ataków bezwzględnych mężczyzn szukających przy pomocy

agresji okazji do realizacji spaczonych ciągów — zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Nadzwyczaj rzadko jednak zdarza się, by mężczyzna był ofiarą napadku, w wyniku którego dochodzi bądź do gwałtu, bądź do czynu nierzadnego. W Dobczycach, na podstawie zebranych dowodów przyjęto, iż na tamtejszym terenie pojawił się osobnik o homoseksualnych skłonnościach, a do tego działający w sposób szczególnie niebezpieczny. Śmierć Mieczysława N. w trakcie śledztwa skojarzono ze zgłoszonymi o przestępstwach dokonywanych przez nieznanego mężczyznę atakującego in-

nych mężczyzn, najczęściej znajdujących się w stanie nietrzeźwym. Oto w nocy z 30 na 31 marca ub. r. wracający do domu S.J. napadnięty został przez nieznaną osobę, który działając ze szczególnym okrucieństwem polegającym na powaleniu na ziemię S.J., bił go rękami i kamieniem, zmusił go do seksualnych działań. Ze względu obyczajowych darymy sobie szczegóły ograniczając się do stwierdzenia, że zaistniało przestępstwo czynu nierzadnego.

Ofiarą napastnika był także S.P., oczywiście również pijany, oczywiście również mający trudności z krytyczną oceną zaistniałej sytuacji. Tak jak S.J., tak i S.P. był bity, kopany, zmuszony został do podania

dobrych myśli, a także uświadomienia, że w związku z budową zapory na Rabe pojawiło się w okolicy wielu nowych ludzi, mieszkających przez większą część tygodnia w prowizorycznych hotelach. Właśnie wśród mężczyzn, zatrudnionych przy budowie, początkowo szukano sprawcy przestępstwa o podłożu seksualnym. Trop ten jednak okazał się fałszywy.

Prowadzone śledztwo doprowadziło w końcu do tego, że w kręgu podejrzanych znalazł się 25-letni Mieczysław N. (zbieżność z personaliami wymienionymi wstępnie ofiary przypadkowa), mieszkający jednej z poddębickich wsi. Kolejne czynności dochodzeniowe nie pozostawiały złudzeń co do tego, że 25-latek jest

poszukiwanym napastnikiem. Mieczysław N. został aresztowany.

Swoje przestępstwa tłumaczył stanem upojenia alkoholowego. To właśnie pod wpływem alkoholu dochodziło do głosu i agresja, a potem spalone zainteresowanie mężczyznami. Ci ostatni, gdy był trzeźwy zupełnie go nie interesowali...

Mieczysław N. nie tylko napadał na mężczyzn w celu zmuszenia ich do poddania się czynom nierzadnym, ale także okradł ich z zegarków, z portfeli.

Seksualne podłożo sprawy, a także uświadomienie okoliczności z życia Mieczysława N. sprawiały, że podejrzany poddany został badaniu przez biegłych lekarzy psychiatrów. W przedstawionej opinii wykluczili oni u pacjenta chorobę psychiczną w rozumieniu psychiatrii oraz niedorozwój umysłowy. Stwierdzili jednak, że Mieczysław N. jest osobnikiem o nieprawidłowych cechach z rysami histerycznymi. Seksuolog z kolei ujawnił u podejrzanego wyraźne ukierunkowanie homoseksualne.

Ta nietypowa sprawa znajduje się niebawem na wondanie Sądu Wojewódzkiego w Krakowie. Sąd nie będzie badał inklinacji oskarżonego, gdyż w końcu życie seksualne człowieka jest jego prywatną sprawą, lecz niedozwolona realizacja omych seksualnych potrzeb. Nasze prawo bowiem wyraźnie wytycza granice, przekroczenie której przekreśla obyczajową tolerancję.

JANUSZ HAŃDEREK

Granica tolerancji